12 stron

Cena 7 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„...LUD FRANCUSKI POJMOWAŁ ZAWSZE, TAK SAMO JAK MY, TEN WYRAZ BARBARZYŃSKI NIEINTERWENCJA"..,

Adam Mickiewicz

1849 r.

Rok 2 Łódź, 25 marca 1946 r. Nr 11 (28)

SPECTATOR

Anglicy a Niemcy

I.

Nasza opinia publiczna żywo interesuje się objawami pojednawczości występującymi obecnie ze strony angielskiej w stosunk do pokonanych Niemiec. Od wzmianek tego rodzaju roi się w prasie codziennej, w relacjach korespondentów. Zainteresowanie zrozumiałe wobec obaw powtórzenia polityki brytyjskiej po pierwszej wojnie światowej — obrony interesów Niemiec ze szkodą dla krajów sąsiadujących z nimi. Natomiast u nas często spotyka się stosunek jakby zaskoczenia, niezrozumienia tego zjawiska, które wydaje się jakowąś niespodzianką. Wiąże się to zresztą z tym, iż opinię krajową podczas okupacji informowano jednostronnie, a nawet wyraźnie stronnie w kwestiach polityki międzynarodowej, przez przysięgłych interpretatorów polityki angielskiej.

W rzeczywistości i obecny powojenny zwrot w opinii angielskiej ma swoje skomplikowane podłoże. W znacznej mierze przyczyn nastawienia dzisiejszego szukać należy w odległej przeszłości historycznej. Pamiętajmy, że konflikty anglo-niemieckie datują się względnie od niedawna — właściwie liczą sobie dopiero lat dziesiątki zaledwie, przedtem zaś istniała długa epoka współdziałania, która pozostawiła trwałe ślady w umysłowości brytyjskiej.

Współdziałanie to wywarło swoisty wpływ na dzieje nie tylko zewnętrzne ale i wewnętrzne Wielkiej Brytanii.

Jeden z podstawowych faktów historii Anglii stanowi niewątpliwie względna słabość jej zasobów ludnościowych, w porównaniu z państwami z którymi jej przyszło walczyć. W czasach królowej Elżbiety gdy rozpoczęła się kariera imperialna Anglii, jej ludność dorównywała ludności ówczesnych Niderlandów—jeszcze w okresie walki z Napoleonem zaludnienie Anglii (bez Irlandii) nie przewyższało jednej trzeciej zaludnienia ówczesnej Francji. Dodajmy, iż rządy angielskie stale miały do czynienia z poważnym jeszcze w XVII w., separatyzmem szkockim i dążeniami niepodległościowymi Irlandii, które okresami wymagały przecież poważnych sił do opanowania.

Drugi czynnik natury wewnętrznej to swoisty antymilitaryzm angielski, który odegrał poważną rolę historyczną. W XVII wieku w okresie wielkiej rewolucji lat 1640—60 Anglia przeszła przez okres dyktatury militarnej, gdy trzecia część zdatnych do noszenia broni znajdowała się w wojsku a olbrzymi odsetek dochodu narodowego szedł na potrzeby armii. Dla przywódców i ideologów parlamentaryzmu angielskiego armia stała się synonimem sił wrogich parlamentowi i wolnościom obywatelskim. Rozwijano marynarkę, która niebezpieczeństwa wewnętrznego przynajmniej w tym stopniu nie przedstawiała i ta stała się narodową bronią angielską.

Ciągłe wojny prowadzone o posiadłości zamorskie i drogi handlowe wymagały posiadania znacznych sił zbrojnych. Siły te bez kłopotu czerpano z Niemiec. Okres największego rozwoju Imperium Brytyjskiego, był jednocześnie okresem politycznego upadku Niemiec. Po traktacie westfalskim Niemcy stanowiły w polityce międzynarodowej czynnik raczej bierny, rozbite na szereg państw i państewek pod władzą niezależnych suwerenów chronicznie potrzebujących pieniędzy. Od tych książąt można było za gotowiznę zakupić niezbędną ilość wyszkolonego mięsa armatniego. Rządy angielskie w w. XVII i XVIII obficie z tego rezerwuaru korzystają. Inaczej nie mogłyby prowadzić licznych wojen z Francją zwłaszcza — nie mogłyby prowadzić polityki podboju ziem zamorskich.

Kapitalizm angielski, któremu pole oczyściły przewroty antyfeudalne XVII w. wykorzystał w pełni atuty, które mu dawało jego przodujące stanowisko i potrafił dla swych potrzeb zużytkować grzęznące w zacofaniu feudalnym Niemcy jako bazę ludnościowo militarną. Imperium Brytyjskie w znacznej mierze powstało z wysiłku broni niemieckiej i scementowane zostało krwią niemiecką. Sprzedany przez swego księcia za dobre złoto angielskie żołdak niemiecki przelewał swoją krew na polach bitew europejskich, walczył w Indiach, w Ameryce, wszędzie, gdzie tego wymagały sprawy Imperium.

Okoliczności te sprzyjały wytworzeniu się w Wielkiej Brytanii specyficznego stosunku do spraw wojny. Dla krajów kontynentalnych wojowanie oznaczało przede wszystkim poświęcenie żywych sił narodowych, ubytek ludności, krew, gruzy, zniszczenia wszelkiego rodzaju, ciężary i ograniczenia.

W Anglii wojny wspomnianego okresu dotykały ludność w stopniu o wiele mniejszym. Był to przede wszystkim problem operacji kredytowych — przelewu odpowiedniej ilości pieniędzy do kas suwerenów niemieckich, gotowych do szafowania krwią swych poddanych. Jednocześnie cudzoziemskie wojsko zaciężne nie stanowiło poważniejszego problemu wewnętrznego w układzie stosunków wewnątrzkrajowych. Bankierzy górują nad generałami. Ograniczenie władzy królewskiej mogło być dokonane przede wszystkim dlatego, że król nie rozporządzał armią stałą, na której mógłby się oprzeć w rozgrywkach z parlamentem.

Tak więc możność wojennego dysponowania niemieckim rezerwuarem ludnościowym miała konsekwencje nie tylko na terenie polityki zagranicznej ale i wewnętrznej. Anglia mogła przeciwstawić armię przeciwnikom przewyższającym ją pod względem zasobów ludnościowych, jakim była w pierwszym rzędzie Francja. Wewnętrznie zaś Anglia odciążała się niejako od wielu konsekwencji zatargów zbrojnych, mogąc nawet podczas długoletnich wojen w omal że pokojowy sposób rozwijać siły produkcyjne kraju. Ten specyficzny rys wojen angielskich odbijał się oczywiście na stosunkach wewnętrznych wolnych w dużej mierze od tego militarnego ucisku, który w okresie wojen dotykał ludy kontynentu.

Osobną rolę odgrywa tu współdziałanie z Prusami, w okresie, gdy zaczęły one stanowić czynnik ważki w polityce europejskiej. A więc wojenna polityka Fryderyka II porusza się w znacznej mierze w orbicie interesów Wielkiej Brytanii. Wybitny polityk angielski powiedział: — „Kanadę zdobyliśmy nad Elbą". Znowuż oznaczało to, że Kanada zdobyta została dla Anglii krwią i wysiłkiem niemieckim. Nie potrzeba się tu rozwodzić nad rolą Prus w końcowych epizodach tradycyjnej walki Anglii z Francją o hegemonię kolonialną. W polityce równowagi sił na kontynencie stanowiącej do niedawna bezsporną w Anglii doktrynę polityki zagranicznej, Prusy na długo otrzymują stałą pozycję.

Warto przypomnieć te sprawy skądinąd znane, ponieważ procesy trwające setki lat nie dadzą się tak łatwo usunąć ze świadomości społeczeństw. Niemcy przez setki lat stanowiły dla Anglii czynnik, jeśli nie przyjazny, to pozytywny — wynajęty landsknecht niemiecki nie tylko bronił interesów W. Brytanii, ale i osłaniał interesy gospodarcze, pośrednio swobody obywatela brytyjskiego przed prywacjami i ograniczeniami wojennymi.

Zjednoczenie Niemiec dokonane przez Prusy i zrodzone z tego ambicje imperialno - kolonialne doprowadziły do konfliktu, który początkowo mógł być rozpatrywany raczej w aspekcie czysto gospodarczym. Wojna 1914-18 emocjonalnie zaangażowała obywatela brytyjskiego w stopniu poważniejszym, ale zakończona została w stylu sportowym, jako burzliwszy epizod w rozgrywce ekonomicznej z konkurentem, który wykroczył poza ramy walki gospodarczej. Sympatie i współczucie jakie wzbudziły w Anglii prywacje Niemiec po traktacie wersalskim są znane, skutków nie trzeba przypominać. Reżym hitlerowski o ile wzbudził antypatie w masach pracujących, o tyle wśród reakcyjnych kół wielkokapitalistycznych Anglii spotkał się z aprobatą, która wyraziła się choćby w tym, iż spiesznie oddawano wiele pozycji i ustępstw, których broniono republice wejmarskiej. Szczytowy punkt tej polityki stanowiło Monachium.

II.

Stosunek hitleryzmu do Anglii był nader skomplikowany. Hitler nigdy nie głosił haseł wytępienia Anglików, czy zniszczenia Imperium Brytyjskiego. Nie rozumiał lub udawał, że nie rozumie całej sprzeczności interesów Wielkiej Rzeszy z Imperium, robiąc wyrzuty polityce wilhelmowskiej, że w 1914 roku doprowadziła do konfliktu wojennego z Anglią. Jakież tedy były cele polityczne hitlerowców w stosunku do Anglii? Przywódcy hitlerowcy wychodzili z nie przez nich wymyślonej koncepcji schyłku Imperium Brytyjskiego i nieprzystosowania struktury Imperium do współczesnych warunków. Hitler uważał, że „młoda", pełna sił żywotnych Rzesza zaopiekuje się po prostu dorobkiem brytyjskim w pewnym sensie ratując Imperium od zagłady przez wlanie weń nowych sił i nowych energii germańskich. Głosząc hasła zagłady wyniszczenia narodów słowiańskich, wytępienia, ewentualnie wypchnięcia ich na obszary azjatyckie, realizując to w swej praktyce okupacyjnej, hitleryzm w stosunku do Anglii wysuwał raczej pretensje pod adresem przywódców, którzy nie rozumieją korzyści współdziałania z wielką Rzeszą i tej koncepcji ratowania Imperium.

Z biegiem wojny, gdy uwydatniła się rozstrzygająca rola Z. S. R. R., gdy Stany Zjednoczone wystąpiły w całej groźnej sile — propaganda goebbelsowska coraz silniej uderza w akcenty politowania i współczucia w stosunku do Imperium Brytyjskiego, zagrożonego pochłonięciem czy osłabieniem przez swych potężniejszych sprzymierzeńców. Hitleryzm istotnie nie docenił siły Związku Radzieckiego i nie docenił wagi jaką w sprawach europejskich mieć musiała interwencja Stanów Zjednoczonych — działało tu zaślepienie typowe dla nacjonalizmu.

Konflikt z Anglią przywódcy hitlerowscy chcieliby uporczywie traktować jako domowe nieporozumienie, które dałoby się zlikwidować domowymi środkami. Właśnie przeświadczenie o tym doprowadziło do niefortunnego wyjazdu Hessa w przededniu wojny z ZSRR — miał on domowymi perswazjami wyprowadzić Anglię z wojny. Jeśli przywódcy hitlerowscy żywili tego rodzaju złudzenia, to niewątpliwie szereg posunięć statystów brytyjskich w tym mógł ich podtrzymywać. Ale o postępowaniu Anglii zadecydowało stanowisko patriotycznych mas angielskich, żywiących nieubłagany wstręt do faszyzmu i wszelkiego rodzaju kombinacji profaszystowskich. Te masy zdołały sparaliżować posunięcia intrygantów monachijskich, wysunąć polityków nieprzejednanych w stosunku do Niemiec hitlerowskich i doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca. Niemniej jednak siły przeciwne działały. Przez cały czas wojny nie ustawały wystąpienia zwolenników pokoju „kompromisowego", zwolenników tezy, iż „nie należy doprowadzać Niemców do ostateczności". Czasem te wystąpienia ujęte były w formę deklaracji pacyfistyczno - humanitarnych, czasem w formę książkowych traktatów politycznych. Zwłaszcza po rozpoczęciu ofensywy armii czerwonej w roku 1943 te wystąpienia przybrały na sile i troska co będzie z biednymi Niemcami wezbrała niespodzianie szeroko w prasie angielskiej.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

No Pasaran!

Umierający republikanie
brocząc po bruku krwią swoich ran
w krwi umaczanym palcem po ścianie
wypisywali: „No pasaràn!"

Ogniem, żelazem napis ten ryto
pośród barykad z bruku i serc.
Tak się rodziła wolność Madrytu,
droższa niż życie, trwalsza niż śmierć.

Na nią dwa lata parły faszyzmy,
ogniem, żelazem złobiąc jej kształt.
Wolność na posąg rosła ojczyzny,
tej, która depcze ucisk i gwałt...

W wierszu mym — wolność, równość, braterstwo,
wiersz mój zbroczony krwią swoich ran.
Jeśli ma zginąć, niech poprzez śmierć swą
głosi nadzieję: „No pasaráń!"

W społeczeństwie angielskim istnieje, ma swoje tradycje całkiem specyficzny humanitaryzm, którego metody znajdowały z dawien dawna kostycznych i uszczypliwych komentatorów — chodziło tu o łatwość, z jaką ten misjonarski humanitaryzm towarzyszył metodom polityki imperialnej, nieraz drastycznym z punktu widzenia istotnie humanitarnego. Wyrobiły się pewne chwyty opiekuńcze na wzorach indywidualnej filantropii oparte. W okresie wojny znieczulały one społeczeństwo na rzeczywiste okropności, których terenem stały się okupowane przez hitlerowców obszary Wschodniej Europy. Podczas wojny, w polskiej prasie emigranckiej niejednokrotnie poruszano kwestię obojętności opinii brytyjskiej na sprawy okrucieństw hitlerowskich. Co więcej, rząd brytyjski nie używał swego kredytu propagandowego w tej sprawie w stopniu dostatecznym. Uderzało to zwłaszcza w okresie masowych rzezi ludności żydowskiej — właśnie kamienna obojętność opinii brytyjskiej w tej sprawie doprowadziła do samobójstwa znanego działacza bundowskiego, Zygielbojma, który śmiercią swoją postanowił zademonstrować protest i uzyskać posłuch.

Niemniej kiedy fakty te nareszcie uzyskały rozgłos, reakcja różnych przysięgłych filantropów mogła wydać się conajmniej dziwaczna. Tak np. znany polityk labourzystowski, Greenwood, wysunął projekt, aby skoro nie można uratować masy ludności żydowskiej przeznaczonej przez hitlerowców na zniszczenie, trzeba przynajmniej ocalić dzieci. Samo przypuszczenie, że hitlerowcy mordując i niszcząc najbardziej okrutnymi metodami masy ludności dorosłej, zajmą się przechowaniem dzieci żydowskich (w specjalnie urządzonych dziecińcach), stanowi niezmiernie charakterystyczny przykład tego specyficznego nastawienia, które trudno nazwać humanitaryzmem we właściwym znaczeniu słowa. Raczej można mówić o pewnym zmanierowaniu filantropijnym, grającym jednostronnie na strunie litości czy politowania bez uwzględnienia konkretnych warunków. Mamy to właśnie na porządku dziennym w dzisiejszej praktyce angielskich filantropów w stosunku do Niemiec.

Mówiąc o stosunku Anglików do Niemców wypada wspomnieć o działalności słynnego lorda Vansittarta. Ale znaczenie jego antyniemieckiej propagandy było na kontynencie mocno przeceniane. Każde z jego wystąpień spotykało się z reakcją i protestami w najróżnorodniejszych kołach od konserwatystów do labourzystów. Przez swoją jaskrawość i jednostronność wystąpienie Vansittarta dawało pole dla krytyki.

III

Pewien autor francuski w serii uszczypliwych opinii o germańskich sąsiadach napisał, że Niemiec to jest człowiek, który całe życie sekretnie cierpi nad tym, że nie jest Anglikiem, jak Niemka ubolewa, że nie jest Francuzką. Przy całej przesadzie satyrycznej tkwi tu obserwacja natury poważniejszej. Nie ulega wątpliwości, że mieszczaństwo niemieckie w okresie narastania dążeń imperialistycznych wzorowało się na Anglikach. Jak zresztą wszędzie na kontynencie — mieliśmy to i u siebie. Anglia stanowiła swego rodzaju ideał, do którego imperialiści starali się dociągnąć.

Nie ulega wątpliwości, że koncepcja Herrenvolku w nowszym niemieckim wydaniu kształtowała się pod wpływami angielskiej polityki kolonialnej.

Jak już wspomniałem Niemcy przez długi okres byli przedmiotem oddziaływania imperializmu brytyjskiego a za Imperium brytyjskie landsknechty niemieckie przelały sporo krwi. Po zjednoczeniu Reichu spotężniała burżuazja niemiecka z równą zawiścią co i podziwem usiłowała naśladować te nieprześcignione wzory. Klęska 1918 r. nie ostudziła tych aspiracji, ale skłoniła do powtórzenia próby i zaostrzenia metod.

Hitleryzm postawił tu swoje kropki nad i, doprowadzając nastroje imperialistyczne do stanu jakowejś zbiorowej histerii. Oczywiście nie trzeba przypisywać większego znaczenia hitlerowskim powoływaniom się na wzory angielskie. Zastosowanie praktyki kolonialnej w stosunku do ludów europejskich stanowi niewątpliwie wynalazek hitlerowców — zresztą przewyższyli oni bezwzględnością i okrucieństwem najgorsze wzory kolonialne. Charakterystyczne jest tu użycie samego argumentu, a nie jego treść. Jeśli hitlerowcy wywodzili, że pierwsze obozy koncentracyjne dla ludności cywilnej stworzyli Anglicy podczas wojny burskiej, to przecież nie były to obozy zniszczenia, z ich przerażającym rozstaniem się z jakimikolwiek względami ludzkości.

Inna sprawa, że gdy omawia się reakcję angielską na hitlerowskie okrucieństwa, to możliwe, iż własna praktyka kolonialna mogła w pewnym stopniu znieczulić Anglików w stosunku do posunięć hitlerowskich w Europie Wschodniej. Rasizm, teoretycznie potępiany, w praktyce, znowuż pod wpływem polityki kolonialnej spotyka się w społeczeństwie angielskim dość szeroko. Ciekawe obserwacje poczynili tu znowu nasi emigranci, nawet w kołach skądinąd liberalnych. Łączą się z tym zagadnienia praktyczne, wysunięte przez okupację obszarów niemieckich i t.zw. wychowywanie Niemiec. Słabą stronę tego „wychowania" stanowi społeczna bezsilność angielskich wychowawców wobec hitleryzmu. Jest to problem specjalny, który wymagałby oddzielnego omówienia. Przysłowiowy na kontynencie i w pewnym sensie przystosowany znakomicie, przynajmniej dotychczas, do potrzeb państwowości angielskiej „tradycjonalizm" ma swoje aspekty w przechowywaniu szeregu anachronizmów społecznych, które do misjonarstwa demokratycznego całkiem nie pasują. Klasyczny liberalizm społeczny angielskiego mieszczaństwa potrafił zżyć się z przechowywaniem wielu tradycyjnych przedziałów społecznych i przywilejów klasowych, na kontynencie należących nieraz do przeszłości.

Praktyka okupantów angielskich istotnie nie posiada wielu atutów społecznych, którymi by mogła zaimponować Niemcom pohitlerowskim. Przy całym barbarzyństwie w stosunku do narodów podbitych jak i wobec przeciwników wewnętrznych, hitleryzm usunął wiele hierarchicznych przeżytków średniowiecza w Niemczech, choćby już przez sam fakt dość dużego wprowadzenia elementów dołowych (przy tym wszelkiego rodzaju zdeklasowańców) do aparatu państwowego.

Zwłaszcza jeśli chodzi o armię angielską, która oczywiście w stosunkach okupacyjnych gra pierwsze skrzypce, to mówienie o jakichkolwiek możliwościach wychowawczych z tej strony jest czystym absurdem. Przy swoich specyficznych tradycjach kolonialnych armia angielska pozostała i dziś jeszcze siedzibą największych anachronizmów społecznych. Nawet związek z własnym społeczeństwem był tam zawsze słabszy, niż w armiach kontynentalnych, przy braku powszechnej służby wojskowej. (Względnie niedawno jeszcze na początku XX w. stopnie oficerskie w wojsku angielskim były kupowane). Podczas wojny prasa angielska niejednokrotnie podawała uderzające przykłady anachronicznej w czasach dzisiejszych pychy i separatyzmu angielskiego oficerstwa, gdy w tym samym czasie hitleryzm zmuszony był ze względów praktyczno - wojennych do poważnego przełamywania pozostałości starej buty junkiersko - pruskiej. Armia brytyjska jako wychowawca Niemiec w duchu demokratycznym stanowi słaby punkt całego systemu, jako że właśnie duchem demokratycznym imponować nie może.

To przyczynia się do istotnej bezradności brytyjczyków wobec problemów wewnętrznych Niemiec. Pomijając intencje „wychowawców", to po prostu nie wiele oni mogą dać swym wychowankom właśnie w dziedzinie społecznej. Gros wysiłków brytyjskich w Niemczech skupia się raczej koło pozyskiwania życzliwości Niemców drogą akcji filantropijnej. Dlatego też nawet pewna część obserwatorów anglosaskich zmuszona jest przyznać, że jeśli istnieje jakiś system wychowawczy w okupacji Niemców, to należy szukać go w radzieckiej strefie okupacyjnej, gdzie posunięcia natury militarno - zabezpieczającej połączone są z reformowaniem społecznej struktury kraju (parcelacja wielkich majątków ziemskich itp.).

Zresztą to jest temat do oddzielnego rozważania. Tutaj ograniczyłem się raczej do napomknienia o czynnikach natury historyczno - psychologicznej, wpływających na stosunek brytyjczyków do Niemiec pohitlerowskich. Natomiast niesłuszne jest, spotykane często, uogólnienie posunięć brytyjskich jako ogólnej praktyki „anglosasów". I w sprawie stosunku do Niemiec, jak i w innych istnieją między władzami brytyjskimi i USA kapitalne różnice. Praktyka zony okupacyjnej amerykańskiej nie wykazując określonego systemu, określonej koncepcji ukształtowania przyszłych Niemiec, odbiega jednak od brytyjskiej. Różnice te wynikają bodaj z braku tych historycznie łączących przeżyć, o których mówiło się na początku. Faktem jest przecież, że oddziały angielskie w czasach walk Stanów Zjednoczonych z Anglią składały się w znacznej części z landsknechtów niemieckich.

Wbrew pozorom hitleryzm stanowił o wiele większą groźbę dla USA niż dla Anglii. Twierdzenie to może wydać się słabo uzasadnionym, bo przecież Niemcy w okresie swych powodzeń oddzielone były od Anglii przez kanał La Manche, podczas gdy między nimi a Ameryką leżał Ocean Atlantycki. Różnica polega jednak na tym, że Niemcy hitlerowskie zagrażały Anglii przede wszystkim militarnie. Anglia ze swymi formami historycznie skrystalizowanymi jest dość odporna na wpływy zewnętrzne. Stany Zjednoczone stanowią historycznie świeży stop emigrantów najróżniejszych narodowości. Wprawdzie dominacja kulturalna anglosasów jest bezsporna, ale wielkie masy narodowościowe odmiennego pochodzenia stanowią czynnik poważny. Hitleryzm z racji owej młodości strukturalnej amerykanizmu stanowił dlań kolosalne niebezpieczeństwo polityczne. Gdyby hitlerowcom udało się zaszczepić na trwałe masie obywateli amerykańskich pochodzenia niemieckiego swoją fanatyczną mistykę wyłączności nacjonalistycznej, zarażając prędzej czy później inne mniejszości — mogłoby to się stać fatalne dla przyszłości amerykanizmu w ogóle. Dodać tu należy sprawę poważnych wpływów hitleryzmu na państwa Południowo - Amerykańskie — również czynnik rozsadzający jedność kontynentu Ameryki, uważaną za polityczny dogmat w USA. To też udział Stanów Zjednoczonych w wojnach z Niemcami należy w znacznej mierze rozważać pod kątem widzenia walki o jedność wewnętrzną kraju. To z natury rzeczy wprowadza poważną różnicę w stosunku do Niemiec między Brytyjczykami oraz Amerykanami, to powoduje również odrębność w traktowaniu problemu niemieckiego, a niekiedy i większe zrozumienie spraw narodów graniczących z Niemcami w USA niż w Anglii. Mimo, iż Anglię dzieli od kontynentu wąski przesmyk, zaś Stany Zjednoczone — ocean.

Spectator

JERZY ZAGÓRSKI

Prowincja

Sekretarz redakcji mego Ojca w zapomnianym od świata wojewódzkim mieście jeszcze w 1932 roku wyłuszczył mi dość obszernie swoje poglądy na sprawę techniki tudzież nieśmiertelności.

Płynęliśmy latem rzeką wąską, a mijającą łagodne łąki, zamkowe wzgórze i drewniane mosty. Niosła nas zwyczajna, prymitywna łódź, nawet nie kajak i przebieraliśmy zielsko, nenufary i wodę prostym nieporęcznym niemalowanym wiosłem. Na brzegach w słońcu pełno było młodzieży kilku zmieszanych ras, a psy, w tym kilka Setterów, skakały do wody za patykami rzucanymi przez ich właścicieli.

Przedstawił rzecz. Twierdził, że tylko w drodze rozwoju techniki da się osiągnąć fizyczną nieśmiertelność ludzi. Rozwój techniki doprowadzi nas nie tylko do takiego stanu, że ludzie będą mogli zachowywać permanentne życie, ale również przywracać egzystencję umarłym.

Kiedy na przystani wychodząc z łodzi fundowaliśmy sobie po szklance wody sodowej z podwójną ilością słodkiego soku, konkludował: „Wszystko przy pomocy techniki". Ale ponieważ potężnie seplenił, więc „wszystko" brzmiało podobnie jak „wsystko", a „przy" jak „psy". To seplenienie było specjalnie zabawne, gdy próbował się zalecać do sekretarki osobistej mego Ojca. „Ciekawym cy bym potrafił panią wprowadzić w sał" mówił podając jej sfatygowane palto.

Choć nie podzielałem jego poglądów, że nieśmiertelność da się osiągnąć tylko przy pomocy techniki, muszę przyznać, że nie był tak już całkowicie daleki od rzeczowości Jak każda bzdura ma jakiś związek z sensem, tak i jego poglądy przeczuwały niejedno. Dziś gdy największe potencje wstawiają niemałe kwoty na opracowywanie radaru — kto wie, kto wie?...

Przecież wystarczy tylko kilka małych ulepszeń, a przemówi do nas swym głosem sprzed tysięcy lat autentyczny Katon, a kto wie, może ujrzymy jego autentyczne oblicze, przekazane nam już nie przez imaginatorów, lecz przez najczulsze precyzyjne aparaty. Narazie będzie można historię tylko sprawdzać, ale to będzie już wielki krok do stanu, gdy będzie można historię przywracać i „mieszać epoki, ludzi, wszystko razem" czy coś w tym rodzaju jak to Norwid sądził, że czyni.

Głos ludzki rozchodzi się z szybkością kilkuset metrów na sekundę i choć odchodząc od swych źródeł cichnie, jednak faluje coraz dalej i jest to tylko sprawa czułości przyrządów, aby go uchwycić gdzieś w bardzo dalekich przestrzeniach, gdzie doszedł po wiekach i tysiącleciach. Radar natomiast może być bardzo szybki. Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę pono nie jest dla niego rzeczą niemożliwą.

Narazie ten radar, który jest obecnie w użyciu łowi tylko twarde przedmioty. Ale lada rok, lada dziesięciolecie, a może powstać radar doskonalszy, subtelniejszy, lepszy gatunek radaru, który dzięki swej szybkości, być może dającą się jeszcze wielokrotnie zwiększyć, będzie w stanie doścignąć głos lecący wolno po wszechświecie. Jeszcze lepsza odmiana radaru może potrafi dognać także obrazy lecące w przestwór zaledwie z szybkością normalnego światła. Doścignąć głos, doścignąć obraz i przyprowadzać je do nas pokolei z powrotem. Ów dzień będzie dniem przełomowym w metodologii badań historycznych. Dotychczas ustalało się fakty historyczne przy pomocy badań źródłowych, wkrótce będzie można to uczynić przy pomocy radaru posłanego w pozagwiezdne przestrzenie w pościgu za falami, które tam poniosły głosowe i wizualne echo wydarzeń. Już wkrótce przy pomocy radaru nieufny amant będzie mógł niezbicie stwierdzić wierność swej sympatii. Później historycy przy pomocy udoskonalonego radaru pochwycą przebieg bitwy na polach katalońskich, czy pod Maratonem, przy czym oczywiście wpierw przyrządy przyniosą zgiełk owych bitew, a potem ich obrazy, inaczej zupełnie niż dotychczas przy pomocy prymitywnych zmysłów naturalnych, gdy najpierw widzimy błyskawicę, a potem słyszymy grom.

Ostateczne zsynchronizowanie dźwięku i obrazu jest dotychczas przedmiotem trosk różnych foto- i fono-grafików. Ale od czego technika i wiara w jej rozwój?

Jeśli jednocześnie aparaty odbiorcze konstruktorzy tak udoskonalą, że nie trzeba będzie rzucać owego głosu i owych obrazów wyłowionych z historii na płaskie ekrany, lecz na powietrze otaczające nas, pokumamy się, zaprzyjaźnimy i zbratamy z nieprzemijającą już nigdy wokół nas przeszłością. Może się nawet w powietrzu nas otaczającym zrobić straszliwy tłok od owej przeszłości narastającej, pączkującej i rozkwitającej, zwłaszcza, że niektórzy w swych wielkich kłopotach i opresjach mogą nawet przywoływać w sukurs potężne armie dawno zdawałoby się poległe. A jeśli rozjuszeni wtedy nadmiarem obrazów i ech wodzowie zbójeckich narodów zechcą wycinać w pień i żywych i owe wizje, rychło się przekonają, że wysiłki ich są bezcelowe i wodzowie będą się kurczyć jak obrażone ślimaki, lub ośmiornice.

Kto wie, może owe obrazy i echa, gdy je ożywi zgiełk i gwar, gdy skrzyżują się z naszym życiem, staną się czymś więcej niż odbiciami? Przecież są i tacy uczeni, którzy przypuszczają, że koniec świata, wobec stałej tendencji wszelkich fal do wydłużania się, i wobec tego że stosunkowo najdłuższymi falami są fale głosowe, będzie czymś w rodzaju gigantycznego radiowego koncertu. Nie domyślają się jednak, że może to być koncert z ilustracjami.

Wtedy niedowiarkowie nareszcie uwierzą w archanielskie trąby. Innym okiem wtedy spojrzymy na siebie, będziemy mogli wszystko z sobą porównać, a będzie można to czynić nie tylko w stolicach potężnych imperiów, ale także na głębokiej, zapadłej, zapomnianej od świata prowincji spóźnionego w swym dziejowym pochodzie kraju.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Dziwo hiszpańskie

Hiszpania nie po raz pierwszy budzi dzisiaj zdumienie Europy i świata.

Przed nie tak jeszcze wielu laty Hiszpania budziła zdumienie i niekłamany podziw dla heroizmu jej ludu, który z rzadkim, niemal bezprzykładnym poświęceniem bronił do upadłego swoich swobód, swojego słusznego prawa do życia i wolności.

Burza potężniejszych zmagań dzieli nas od tamtych lat „wojny hiszpańskiej", zmagań, w których skrwawiła się Europa i świat po to, żeby była wolność — a mimo to wspomnienie tamtych zmagań się hiszpańskiego ludu wciąż stoi przed naszymi oczyma żywe i fascynuje swoim bohaterstwem.

Był Stalingrad i Warszawa, był nieprzejednany opór Jugosłowian, było ofiarne męczeństwo wielu narodów Europy, nieuginających się pod ciosami hitlerowskich okrucieństw, ale obrona Madrytu przed wspólnym najazdem trzech faszyzmów — hiszpańskiego, włoskiego i niemieckiego wciąż jeszcze jest żywym symbolem najwyższego heroizmu, ukochania wolności i miłości ojczyzny.

Guadalajara czy Oviedo, Barcelona czy Alicante to do dzisiaj dla każdego ukochane, tylko obce nazwy geograficzne — to znaczone krwią hiszpańskich demokratów pierwsze pozycje obrony świata przed jarzmem, bestialstwem, barbarzyństwem zbójów Mussoliniego i Hitlera.

To hiszpańska Republika była pierwszym „natchnieniem świata" w walce z „rycerzami" Majdanka i Oświęcimia, fabrykantami mydła z ludzkiego tłuszczu, zdegenerowanymi mordercami milionów kobiet i dzieci, teoretykami „rasy panów".

Zanim niemiecka eskadra „Condor" zrzuciła pierwsze bomby na ludność cywilną Warszawy, inicjując polski wrzesień, ta sama eskadra uczyniła sobie z męki narodu hiszpańskiego doświadczalny poligon dla przyszłych swoich bandyckich sukcesów, bombardując otwarte miasta hiszpańskie.

Wówczas to górnicy Asturii, katalońscy chłopi, robotnicy Barcelony i Madrytu wraz z demokratyczną inteligencją powiedzieli „No pasaran!". — „Nie przejdą!" tak jak wkrótce potem powiedział to samo lud Warszawy, żołnierze Modlina i Westerplatte, jak powiedział to naród brytyjski w krytycznym dla niego wrześniu 1940 roku, kiedy niedawni „zwycięzcy" spod Madrytu stanęli nad kanałem po klęsce Francji.

Hiszpańscy demokraci zdecydowali, że tamci „nie przejdą" tak, jak zdecydowali to później mieszkańcy Leningradu i Moskwy, żołnierze stalingradzkiej epopei, jak zdecydowały wszystkie narody miłujące wolność.

Zdrajca własnej ojczyzny, morderca hiszpańskiego narodu, późniejszy „caudillo", a więc führer, duce, „wódz" zbrojnych band falangistów, iberyjskich kandydatów na SS-manów zdając sobie sprawę w tamtych latach, które wspominamy że sam na czele swoich bojówek nie zdoła przeciwstawić się zdecydowanej woli narodu wprowadzić na pola Hiszpanii sojusznicze dywizje Hitlera i Mussoliniego.

Generał Franco dla obalenia Republiki, dla krwawej rozprawy z demokratyczną wolą hiszpańskiego ludu sprzedał swoją nikczemną duszę faszysty zbrodniarzom, którzy utopili we krwi Hiszpanię.

Agent Franco bardzo potrzebny był wówczas marzycielom o „nowej Europie" niewolnictwa i zbrodni.

Knując zamach na wolność świata Mussolini i Hitler układali solidny plan podboju. Żeby rzucić sobie pod nogi Europę żeby z jej narodów uczynić knechtów pruskiego junkra, trzeba było przedtem obezwładnić, osaczyć, zachodni bastion demokracji — Francję frontu ludowego. Dla tego celu potrzebna była Hitlerowi Hiszpania.

Demokratyczne masy ludowe Europy i świata przejrzały natychmiast chytrą grę berlińskiego Machiawela. Jeden nieustanny krzyk protestu demokratów całego świata towarzyszył najazdowi faszystowskiemu na półwysep iberyjski. Ale rządy w krajach demokracji Zachodu wciąż mocno tkwiły w drapieżnych pazurach kapitalistycznych spekulantów potem i krwią narodów, a w wielu pozostałych krajach naszego kontynentu, gdzie już jak i w Polsce rosły w klikach rządzących faszystowskie ciągoty, z mniej lub więcej ukrywaną sympatią spoglądali „mocarstwowcy" na to, jak kondotier Hitlera morduje nadzieje narodu hiszpańskiego na wydobycie się z politycznego, społecznego i gospodarczego ucisku.

I kiedy masy ludowe krajów Europy domagały się pomocy dla legalnego rządu Republiki, dla suwerennego narodu hiszpańskiego, przeciwstawiającego się z niebywałym bohaterstwem najazdowi włoskich i niemieckich żołdaków, kiedy w tych masach ludowych, wiążących własne wolnościowe nadzieje ze zwycięstwem Republiki, rosła potężna fala oburzenia dla zdrajcy i agenta Berlina i Rzymu Franco, rządy wbrew woli tych mas zdecydowały zastosować zasadę „nieinterwencji".

Co to znaczy w takim przypadku „nieinterwencja" —to już sto lat wcześniej wyjaśnił w „Trybunie Ludów" Mickiewicz.

Obłudny manewr „nieinterwencji" spętał wszystkich... z wyjątkiem tych, którzy nic sobie nigdy nie robili z żadnych układów — z wyjątkiem faszystowskich reakcjonistów.

Franco przy pomocy swoich możnych protektorów powalił Republikę i na trupach bohaterskich obrońców hiszpańskiej Ojczyzny ustanowił twardy „porządek" swojej dyktatury, dodatkowo jeszcze pobłogosławiony przez wszystkich na świecie obszarników i Stolicę Apostolską.

Zwycięstwo Franco stało się w Hiszpanii punktem wyjścia dla straszliwego pogromu jakichkolwiek wolnościowych odruchów, z całą bezwzględnością dławionych przy pomocy wypróbowanych metod Gestapo. Kto nie zdołał ujść za granicę kraju, dał głowę. Wola zbiorowości narodowej zmuszona była zejść w podziemia.

Wdzięczny za udzieloną mu pomoc w dziele zniszczenia hiszpańskiej demokracji „generalny gubernator" iberyjskiego „Nebenlandu" Franco, jak mógł, z psią wiernością służył swoim mocodawcom w latach wojny. „Neutralna" Hiszpania, niezdolna stanąć zbrojnie u boku Niemiec, zdobyła się wszakże na wyekwipowanie Błękitnej dywizji" do walki ze Związkiem Radzieckim, dostarczała hitlerowskiemu sojusznikowi potrzebnych mu rud ze swoich kopalń, dawałaby mu jeść, gdyby mogła, ale sama, niestety, marzyła głodem swój nieszczęsny, skatowany naród.

I tak było do końca. Po niesławnym zgonie berlińskiego „nadczłowieka" znalazł jeszcze w sobie gauleiter Hiszpanii Franco tyle prowokacyjnej bezczelności, że pośpieszył przez madrycką rozgłośnię wyrazić swój smutek z powodu śmierci Führera i „zachwyt dla dzieła jego życia".

I oto sprawa hiszpańska po raz wtóry budzi zdumienie świata.

Przez niemal sześć lat narody z takim samym heroizmem, jak niegdyś hiszpańscy republikanie, borykały się z widmem swojej zagłady, walczyły o te same ideały wolności i sprawiedliwości, dla których położyło życie tylu Hiszpanów w walce z generałem Franco, Hitlerem i Mussolinim.

Demokratyczne narody świata odniosły drogo zapłacone zwycięstwo. Nie ma Hitlera i Mussoliniego, runął faszystowski ustrój Italii, rozwalone zostały podstawy „narodowego socjalizmu" junkierskich Niemiec. Spólnicy Hitlera zasiedli na ławie oskarżonych pod zarzutem największej zbrodni, zbrodni popełnionej przeciwko ludzkości — i czeka ich po prostu szubienica. Ludy Europy wyzwolone spod bestialskich „rządów" przez krótki czas triumfujących bandytów z mniejszym lub większym trudem dźwigają się do nowego swobodnego życia. I tylko w Hiszpanii nic się nie zmieniło. Tak jak gdyby Hiszpania była na innej planecie.

W Hiszpanii nadal „rządzi" jawny wspólnik norymberskich przestępców przy pomocy dotychczasowych norymberskich metod.

Zamiast, jak byśmy się spodziewali, siedzieć razem z Frankiem na ławach oskarżonych za te same, co i „nasz" gubernator zbrodnie, generalny gubernator Hitlera w Hiszpanii dalej spokojnie rozstrzeliwuje hiszpańskich patriotów, więzi demokratów, miażdży represjami próby dźwignięcia się ciemiężonego przez siebie ludu i gości całą zgrają narodowo - socjalistycznych szubienicz ników.

Demokratyczny rząd Republiki wciąż pozostaje na emigracji nie uznawany formalnie przez Zjednoczone Narody, gdy tymczasem krwawy kat hiszpańskich robotników i chłopów kpiąc sobie w żywe oczy z opinii świata, domaga się, aby „jego" Hiszpania była również reprezentowana w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Fale zdumienia i gniewu na widok tego osobliwego bądź co bądź zjawiska naszych czasów przepływają przez Europę, gdy tymczasem prowokator Franco robi swoje, a raczej robi u siebie cudze, wrogie, nienawistne hiszpańskiemu narodowi, pozostałym narodom z głupia frant tłumacząc, że przecież jego rządy są tak samo dobre jak i inne.

Tej hecy obrażającej świat musi być położony koniec.

Komukolwiek z jakichkolwiek powodów dogadzałby tego rodzaju ekscesy historyczny — nie może to skłonić międzynarodowej opinii do pogodzenia się z utrzymywaniem nadal „na zarybek" doświadczalnej stacji faszyzmu.

Polacy, którzy w ciągu pięciu i pół długich, okrutnych lat mieli straszliwą okazję zaznać takich „rządów", poczuć na ustach gorzko-słony smak reżimu krwi, zdolni są rozumieć położenie hiszpańskiego narodu i współczuć jego niedoli. Ale Polacy wiedzą także, co znaczy „bezinteresowne" współczucie, jakie się próbuje zaofiarować hiszpańskiemu narodowi.

Wobec dzisiejszych spraw hiszpańskiego narodu nie może być jak w monachijskich czasach zastosowana zasada nieinterwencji. Przeciwko zastosowaniu w tym przypadku podobnej zasady burzy się już nie tylko najprymitywniejsze poczucie moralne, ale i zdrowy rozsądek i nasz instynkt samozachowawczy, który po bolesnych doświadczeniach narodów w ostatniej wojnie każe nam wytępić do cna wszystkie zarazki choroby faszyzmu.

Doświadczenia monachijskiej „kurtuazji" wobec międzynarodowego zła, dodającej bezczelności i bodźca podpalaczom świata, nauczyły nas, do czego prowadzą tego rodzaje urękawicznione stosunki z bandytami.

A zresztą na polach Hiszpanii nie po to przelała się krew także polskich demokratów, którzy tam poszli z tradycyjnym hasłem polskiego patriotyzmu „za naszą i waszą wolność, żeby wspólnik twórców Oświęcimia, Treblinki i Majdanka na naszych oczach gwałcił najprostsze prawa człowieka.

Z Franco musi być zrobiony koniec razem z Frankiem.

Pod znakiem krzyża oddziały gen. Franco przygotowują się do walki.

Bomby nad Madrytem.

Franco — Hitler

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Dzisiejsza Polka

Tym oto rondlom — mawiała moja babka — i kaprysom twojego dziadka ulegałam całe życie. Epokę, w której żyję, należałoby z punktu widzenia życia kobiet nazwać „przekleństwem miedzianych rondli".

Bardzo mi się zawsze podobała kuchnia mojej babki, olbrzymia, widna, o podłodze z jasnych sosnowych desek codzień szorowanych. Naczelne miejsce zajmował wielki stół i rozłożyste dwie półki, pałające miedzianym blaskiem nieprzeliczonej ilości, wielkich, średnich, małych i malutkich rondli. Nigdy nie zauważyłam najdrobniejszej rysy czy plamki na tym wystawowym komplecie. Kilka razy w tygodniu zastawałam babkę z rondlem, imbrykiem lub samowarem między kolanami glansującą je z energią zakrawającą na pastwienie się. Policzki jej wydęte były wtedy na okrągło, język wysunięty nieco i przygryziony zębami.

— Nie przeszkadzaj, smarkata — mówiła w takich razach — dziadek chce, aby w kuchni było wesoło.

Jaki miał być związek między czynnością babki a nastrojem kuchni, nie mogłam tego pojąć.

Babka była w rodzinie tyle szanowana, ile wyśmiewana. „Sawantka" — mówiono o niej z przekąsem.

Potem dowiedziałam się, że babka jako młoda dziewczyna przez trzy lata studiowała przyrodę w Szwajcarii, nie mając jednak dostatecznych środków, ponieważ rodzice jej byli przeciwni tym studiom, musiała wrócić do kraju i tu wyszła za mąż za administratora majątku z okolic Kutna.

Tu osiadła na stałe, tu urodziła dziesięcioro dzieci, tu dwa razy w tygodniu czyściła dwadzieścia cztery rondle i tu wreszcie jako siedemdziesięcioletnia staruszka spoczęła pod akacjami na małym opuszczonym cmentarzyku.

Jak zniosła, jak podołała temu obłąkanemu życiu? — myślałam często. Była przecież inteligentna, wykształcona. Było w niej coś, co kumoszkom z sąsiedztwa kładło pieczęć milczenia na usta, co w jej obecności nie pozwalało wyzwalać się plotkom i brudom drobnomieszczańskiej dulszczyzny. Jak zdołała udźwignąć życie partykularza z mężem dobrym, ale bez wykształcenia i polotu, wymagającym od żony tylko tego, co ma jej ciało: zdolności rodzenia i siły do pracy.

W dużym praktycznym ogrodzie mojego dziadka, w którym wczesną wiosną królowały inspekty, a jesienią łysо jaśniała kapusta, był zakątek niewielki lecz piękny tak, że mnie, dziecku, wydawał się zawsze Alinki krainą czarów. To był właśnie mojej babki zakątek życia, który ją godził na zawsze z rzeczywistością. Rosły tu kwiaty nieznane nikomu w okolicy: bardzo dziwne i bardzo piękne. Na klombach leżały rozpięte na płask delikatne gałązki jodłowe, pośrodku nich drobno żyłkowane dzbanuszki ,jak od serwisu dla lalki, różowe, lila, żółte, czerwone.

„Babciu, — mądrzyłam się — przecież te gałązki zwiędną niedługo, a te dzbanuszki jeszcze prędzej".

„Głuptasie — mówiła babka — przecież to kwiaty, one rosną w ziemi. To przecież portulaki".

Portulaki? Nie, ta nazwa nie podobała mi się. Jakże można było żywy dywan z gałązek jodły i kolorowych dzbanuszków nazywać portulakami?

„Będziemy je nazywać jedlinkami — jeżeli chcesz — mówiła babka.

Zakątek ogrodu babki otaczał szpaler karłowatych krzaczków, cały w drobnych kwiatkach tak delikatnych, że aż przezroczystych zupełnie, zabarwionych rozmaicie. Kolory tych kwiatów były tak intensywne i połyskliwe, że robiły wrażenie jarzących się świateł żółtych, pomarańczowych i czerwonych.

W ogródku babki wszystko było udane, pod jej ręką rodziły się owoce i jarzyny, ale kwiaty były zawsze najpiękniejsze tak, jakby z niej brały zapał i miłość i nim syciły barwy i kształty. Tu tylko widziałam babkę wesołą, w domu była pogodna, ale najczęściej zamyślona i jakaś troszkę obecna ale nieprzytomna.

Myśląc o kobiecie współczesnej, nie mogę oderwać się od myśli o babce mojej, pochylonej nad grządką portulaków — jedlinek. Widzę ją na klęczkach przed tym dywanem i pierzchającą szybko na szorstki głos dziadka:

— Mario, gdzieś się znów zawieruszyła? —

Kim byłaby dziś babka moja, babka, która przezwyciężyła marzeniem upośledzenie kobiety swej epoki stwarzając sobie w maleńkim ogródku fikcyjny świat, oderwany od zaczarowanego koła miedzianych rondli i zwojów białych prześcieradeł? Kim byłaby dziś? Zmiażdżyła ją tradycja, tej nie przezwyciężyła. Portulaki i jawnostka skryte przed oczyma ciekawych zapachniały nam stamtąd modnymi francuskimi perfumami, ale też i paczulą stęchłej starzyzny. Siedząc beztrosko, bezczynnie, zacisznie pod osłoną Kanału La Manche i angielskich dział przeciwlotniczych, damy rozmyślały bezowocnie, jakby tu nie dopuścić do kraju „nowinek", jakby tu przeciwdziałać solidarnej akcji kobiet: akcji i wyzwolenia ojczyzny pod nowym sztandarem wolności, równości i braterstwa. Akcji, dającej w wyniku nową Polskę, a kobiecie w tej Polsce nowy byt i nowe imię. W kobietach tych żyła tradycja sprzed 50 lat, ożyła wtedy, gdy miliardy kobiet w solidarnym wysiłku rozpoczęły budowę nowego świata i nowych tradycyj. A stało się wtedy, gdy do startu stanął każdy, kto żył, kogo jeszcze nie dosięgła ręka faszystowskiego oprawcy. Pierwsze do walki z faszyzmem i do walki o pokój stanęły Polki. Groźna sytuacja w obliczu wroga zalewającego błyskawicznie całą ziemię nie pozwoliła na dłuższe rozważania, czy kobiety dorosły czy nie do roli żołnierza i sanitariuszki. W straszliwej klęsce wrześniowej kobiety przestały być tradycyjną płaczką na grobie ukochanego, lub niedołęgą zdolną składać pocałunek na czole narzeczonego, a szkaplerz na piersiach, romantyczną białą zjawą w snach żołnierza w okopach, kobieta stała się obrończynią ojczyzny, oddającą jej krew i pot w walce o pokój i wolność. I być może kobiety na froncie grzeszyły brakiem wyszkolenia, ale na pewno nie grzeszyły brakiem odwagi, jednakowo przytomnie i odważnie znosiły tanki niemieckie, jak później Oświęcim i Rawensbrück. Duch wojny i lat okupacji stał się tragicznym sprzymierzeńcem kobiet w walce z upośledzeniem i tradycją. Potrzebną stała się każda chętna ręka do pracy i każda rozumna głowa. Przestano mierzyć i ważyć mózg kobiety i obliczać różnicę w stosunku do mózgu mężczyzny, konieczność historyczna stworzyła podstawy do wystąpienia kobiety jako równorzędnego z mężczyzną i świadomego twórcy ram nowego życia.

Chłopka robotnica i inteligentka weszły solidarnie do życia konspiracyjnego. Jaką odegrały rolę — mówi historia lat 1939/1945. Powiedzieć trzeba sprawiedliwie, że dla nikogo chyba wojna nie była tak straszną, jak dla kobiety. Wobec zwiększonego niebezpieczeństwa, grożącego życiu mężczyzny na każdym kroku — kobiety w bardzo wielu wypadkach wzięły na siebie ciężar zarobkowania. Łatwiej było im się poruszać po mieście, łatwiej przeto handlować, łatwiej zarobić. Późną nocą dopiero robota domowa, porządki i szycie, reperacje i pranie. Taki był pierwszy, drugi rok wojny. Lecz w trzecim roku życie oszalało tempem konspiracji, aresztowań, egzekucyj, odwetów. Nie przesadzę chyba, gdy powiem, że w tym czasie udana akcja przeciw faszystom wiele zawdzięcza kobietom. Nosiły i woziły amunicję, broń, ulotki. Zmuszane do pracy w fabryce sabotowały, psuły materiał i narzędzia pracy. Z uśmiechem na malowanych wargach zjawiały się na umówionym punkcie, kokieteryjnie przytulając się do chłopca, odbierały mu spod pachy niebezpieczny pakiet i szły dalej, gdzie spotykały nowego odbiorcę lub odbiorczynię. Kulą rewolwerową i granatem pluły faszystom w twarz za rozbój, za gwałt, za bestialstwo. Umierały tak jak mężczyzna, rozmaicie: z melancholią i odwagą lub przerażeniem w sercu. Gdybym w tym miejscu podjęła opowieści o bohaterkach konspiracji martwych lub żywych i chciała wyczerpać wszystkie znane mi fakty, napisałabym kilkusetstronicowy tom, lecz nie te sprawy są w tej chwili tematem moich rozważań. Ograniczę się do trzech przykładów.

Kobieta, o której myślę w tej chwili, była wiele lat przed wojną jeszcze polonistką w państwowym gimnazjum żeńskim. Dziewczęta lubiły ją bardzo, bo była sprawiedliwą, b. zdolną nauczycielką. Młodzież interesowała ją — dlatego znajdowała drogę do jej serca. Nie znaczyło to bynajmniej, aby była sentymentalna, wprost przeciwnie, trzeźwa i surowa, wymagała od swych uczennic systematycznej pracy. Wkładała b. wiele wysiłku w to, aby nauczyć, aby rozbudzić w dziewczętach zainteresowanie dla ojczystego języka i literatury. Podczas okupacji wciągnęła się dość wcześnie do roboty podziemnej i podjęła akcję b. niebezpieczną: utrzymywała nielegalny kontakt z polskimi jeńcami wojennymi w Niemczech, odbierała od nich informacje, meldunki i sprawozdania kierowała na użytek organizacji, dla której pracowała. Pracowała ofiarnie i szczęśliwie bez wypadku dwa lata. Zdradził ją Niemcom jeden z jeńców za cenę zwolnienia z obozu. Wydana w ręce Gestapo dostała się w Al. Szucha. Gestapowcom niezmiernie zależało na nazwiskach pomocników — znali fakty, wiedzieli, że akcja miała zbyt szeroką skalę, aby udział w niej brała tylko jedna kobieta. A znali przecież tylko jeden sposób wydobywania zeznań z oskarżonego: tortury. Nie odgrywały tu już teraz roli szumne idealistyczne oświadczenia: nie jesteśmy barbarzyńcami, nie krzywdzimy dzieci i kobiet. Kobieta spadała na łeb na szyję z zafałszowanego piedestału hitlerowskiego kobiety i matki a wchodziła na piedestał męczeństwa.

Obserwujący moment przywiezienia z Pawiaka i odwiezienia z powrotem oskarżonej stwierdzali, że z gmachu Al. Szucha wyniesiono ją na noszach nieprzytomną.

Tak było istotnie: bito ją w nerki i okolice nerek dotąd, aż nie zmasakrowano ostatecznie. Wtedy oddano na kurację do szpitala, aby podleczyć i przedłużyć możliwości badań i tortur. Oskarżona była dość inteligentną i dość obeznana ze sposobami postępowania hitlerowców, aby się łudzić, że pozostawią ją w spokoju. Nie łudziła się. Wiedziała aż za dobrze, co ją czeka. I w tych ostatnich godzinach między aresztowaniem a dopełnieniem się jej losu najgorszą ze wszystkiego była myśl, że nie wytrzyma dalszych badań, że wyda towarzyszy pod wpływem nieludzkich tortur. Trudno wyobrazić sobie męczarnię człowieka ciężko chorego tropionego krok w krok w niemieckim szpitalu przez szpicla nie odstępującego ni dniem ni nocą. Jedynie w łazience i w ubikacji szpicla mężczyznę zmieniano na kobietę.

Nie wiem jakim sposobem nieszczęsnej męczennicy udało się zdobyć kawałek mocnego sznurka, fakt jednak, że pewnego dnia kobieta, odprowadziwszy p. Annę do ubikacji, nie doczekała się jej powrotu. Wystraszona łomotać zaczęła do drzwi. Na niskiej na metr od ziemi znajdującej się klamce wisiał w klęczącej pozycji trup p. Anny. Jakiej beznadziejnej trzeba było rozpaczy przy jednoczesnym akcie odwagi, aby tu i w ten sposób odebrać sobie życie? W tej śmierci, poniżającej godność człowieka ze względu na miejsce, jest coś z tragicznego patosu odejścia bohaterki dużej miary. Normalnie każdy człowiek skazany nawet na śmierć kurczowo czepia się życia w nadziei, że wyrok jakimś cudem zostanie odwołany, może mu coś przeszkodzi, może nastąpi coś nieprzewidzianego, co odwróci straszliwy cios. Anna miała podstawy tak myśleć, wiedziała przecież, że stoi za nią grupa wpływowych zorganizowanych ludzi, która będzie starała się interweniować, a jednak obawa o ludzi bliskich jej przez pracę dla wspólnego celu, kazała jej zrezygnować z własnego życia na korzyść tych na wolności, którzy dalej prowadzą podjęte dzieło.

Z „Mamą", jak ją nazywały więźniarki oświęcimskie, zetknęłam się w Röhrsdorfie koło Chemnitz w Saksonii. Po dwu latach pobytu w obozie koncentracyjnym wracała do Warszawy i zawadziła o nasz obóz, by zaczerpnąć oddechu do dalszej uciążliwej wyprawy. Spotkałam ją po raz pierwszy na placyku między kuchnią a ogrodem, gdzie z zaciśniętymi zębami pokonywała sztukę jeżdżenia na rowerze. Miała jakieś 42 lata, całe życie była robotnicą, żoną i matką robotników, co też wyryte było na jej usposobieniu i wyglądzie. Robiła wrażenie osoby przepracowanej nie czasowo jak po powrocie z obozu, lecz na zawsze. Była cicha, skupiona i niezwykle pracowita. Patrzyłam na jej wysiłki przy pokonywaniu narowów nieokiełznanego roweru, wysiłki uparte, za wszelką cenę, dziwiłam się czemu męczy siebie i rower, a nie rozłoży nauki na dłuższy okres czasu. „Ja nie mam czasu — odpowiedziała — ja muszę do swoich i pracy, a nie mam sił iść pieszo".

Po trzech dniach „Mama" jeździła na rowerze, a po tygodniu wyjechała z Niemiec. Historia jej okupacyjnych lat jest bardzo prosta ale i bardzo piękna. Z mężem i grupą kolegów robotników — wciągnięci do życia organizacji założyli radiową stację odbiorczą dla komunikatów zagranicznych w celu notowania ich i przekazywania do użytku prasy podziemnej. Prócz grupy robotników przychodziło dwóch nauczycieli, znających obce języki. Praca szła składnie przez dwa lata. Pewnego dnia w chwili, gdy w mieszkaniu „Mamy" odbierano komunikaty, rozległo się mocne, natarczywe walenie do drzwi. Radio natychmiast zlikwidowano, wszyscy obecni zaś skierowali się do zamaskowanego dość zgrabnie schowka. Wszyscy prócz „Mamy". W ciągu sekund rozdała *mężczyznom broń i granaty, sprawdziła*, czy wszystko na miejscu i w porządku, czy zamaskowanie właściwe, dostateczne, następnie natychmiast otworzyła drzwi, udając ciężkie zaspanie. Niemcy zrobili rewizję, wypytali o męża i synów, na co „Mama" odpowiedziała, że pojechali na wieś na wesele siostrzenicy, po czym kazali się „Mamie" niezwłocznie ubierać.

Na Pawiaku męczyli ją trzy miesiące, bili, katowali, grozili, bez skutku, nareszcie wywieźli do Oświęcimia. I tu wlokła się nadal krwawa karta matyrologii. Na szyi i ramionach miała „Mama" blizny grube i olbrzymie — to po krześle elektrycznym. Sadzano ją na nim na piętnaście minut przy zastosowaniu prądu o niedość wysokim napięciu, aby zabić na miejscu, ale odbierającym przytomność. Przy omdleniu głowa opadała na żelazne okucia, wypalające ciało do kości. Trzykrotnie karana była krzesłem elektrycznym, trzykrotnie poparzona bestialsko. Kiedy patrzyło się na jej spokojne ruchy i poważną skupioną twarz, pogodną tak zupełnie nielicującą z jej losem, nie chciało się wierzyć, że z przeżyć oświęcimskich wychodzi obronną ręką, bez histerii, bez kompleksów bez otępiałości nerwowej. Pełniła funkcję gospodyni w grupie 15 towarzyszy niedoli powracających z Oświęcimia. W grupie tej przeważały 18-letnie dziewczęta. Była im szorstką, ale niezmiernie dobrą matką: obszywała, prała, gotowała, stawiała magnolie na stołach i stoliczkach nocnych, stroiła na tańce i pchała je młode a przedwcześnie zżarte cierpieniem na nowo życiu w ramiona. W rozmowach z „Mamą", rzadkich zresztą na skutek jej licznych zajęć i natury raczej zamkniętej, usiłowałam dociec, skąd wzięła tę dziwną heroiczną postawę odporności i zwycięstwa w obliczu zgrozy i śmierci.

„Obroniłam przecież swoich chłopców — odpowiedziała kiedyś—obroniłam ich i sprawę. Gdyby Niemcy nie zastali w domu nikogo, gdybym zeszła do skrytki z innymi, póty by tłukli się po mieszkaniu, ażby wszystko i wszystkich znaleźli. A tak, mieli mnie w ręku, to im trochę pomieszało szyki, a zarazem dało gwarancję, że w tym mieszkaniu rzeczywiście nic nie ma i że ode mnie niejednego się dowiedzą, gdy zechcą. Tak wszystko zostało uratowane".

Ale Pani, „Mamo", odcierpiała za wszystko. No i co? Cóż znaczę ja, wobec tego, czego oni dokonali?

A dziś wracam do nich. Wyobrażam sobie, jak oni mię po dwóch latach potrzebują!

— Co Pani ma zamiar robić dalej? — pytam.

— Jeżeli tylko będzie gdzie pracować — wracam do fabryki. Na tym kończę słowo o „Mamie" — czy potrzeba dłuższych interpretacyj?

Wielu znane są dzieje Lucyny H. bohaterki I dywizji im. T. Kościuszki, walczącej ofiarnie za naszą i waszą wolność. Ostatnie lata jej krótkiego życia są latami ciągłego wysiłku, triumfalnego pochodu zwycięstwa, początkowo znojnego i gorzkiego ale prowadzącego z dalekich ziem Republik Radzieckich, do zatknięcia sztandaru na wolnej ziemi polskiej.

Gdy I dywizja im. T. Kościuszki stanęła wraz z Armią Czerwoną nad Wisłą i rozpoczęła przeprawę ciężką i niebezpieczną. Lucyna była na czele najbardziej zapalonych, najniecierpliwszych. Odwagą imponowała starym, wytrawnym w rzemiośle żołnierskim kolegom. Zapał jej, brawura znalazły uwieńczenie w sforsowaniu Wisły, ale w zamian za wysoką cenę: cenę życia. Odłamek pocisku niemieckiego zgruchotał jej nogi. Lekarza podczas operacji amputowania obu nóg Lucyna prosiła, aby ratował ją, aby mogła żyć jeszcze. „To nic, że nie będę miała nóg, ale i tak przydam się jeszcze. Chcę żyć, chcę zobaczyć jak będzie w tej nowej ojczyźnie, chcę nadal jej służyć".

Stanisław Jerzy Lec w swoim „Notatniku Polowym" wzruszająco szorstkim salutem żegna Lucynę:

„To podczas przejścia Wisły z Pragi do Warszawy,
gdy na czele kompanii swojej fizylierów
opuściła pod ogniem wiślany brzeg prawy
i padł wreszcie rozkaz: na lewy brzeg steruj" ...
Lecz po cóż to, pomilczmy. Tak jak bój był niemy.
Druga wieść była krótka. Chwyciła za gardło.
Wspomnienie po Tobie, które nie umarło,
Za Wisłę, do Warszawy, do Twojej wniesiemy.

Kobiety wszystkich krajów, kobiety Polski, kobiety Sowieckich Republik, kobiety Norwegii, Danii, Holandii, Jugosławii, Grecji, Francji, kobiety całej Europy walczyły z faszystowsko-hitlerowskim najeźdźcą, jednocząc się w solidarnym, wspólnym wysiłku. Nie ma potrzeby mnożyć przykładów, znane są już najszerszemu nawet ogółowi a świadczą wszystkie o dużym wkładzie bohaterstwa i ofiarności kobiet w solidarnej walce z faszyzmem, w walce o długotrwały pokój. W okresie tym kobiety po raz pierwszy zorganizowały się, po raz pierwszy występowały nie pojedyńczo i nie na własną, nieśmiałą rękę, lecz zbiorowo, popierane autorytetem politycznej organizacji. Zrozumiały przez to możliwości i wartości pracy w dużych zespołach, a poza tym znalazły ujście dla swych zdolności, odskocznię od tradycją wytyczonych dziedzin życia i pracy. Szkoła była ciężka i w bardzo wielu wypadkach groziła śmiertelnymi konsekwencjami, paradoksem prawie staje się fakt, że trzeba było tak straszliwej wojny na to, aby nareszcie nowe fakty, nowe sytuacje wyciągnęły kobietę z poniżenia i upośledzenia wieków.

Myślę z satysfakcją, że babka moja już w 1939 r. nie czyściłaby więcej rondli miedzianych i nie powróciłaby więcej już nigdy do tego zajęcia; bieg wydarzeń wciągnąłby ją w pracę dużo bardziej istotną i pożyteczną. Epoka współczesna nie pozwoliłaby zmarnować jej wiedzy przyrodniczej, miłości pracy i potrzeby działania.

Poprzez chaos życia wojennego, poprzez zniszczenie, z ofiary, z wytężonej walki całego narodu powstała niepodległa Polska mocno oparta o rząd demokracji ludowej. Po okresie gorączkowych przygotowań prób, przemyśleń, życie szybko i konsekwentnie powraca do normy. Krzyknięto głośno na cały kraj hasło: Odbudujmy na nowych podstawach Ojczyznę! „W ślad za tym hasłem przyszło wiele trudności, z których najistotniejsza: brak ludzi. Przed kobietą raz już wprowadzoną w życie podczas okupacji stanął cały świat pracy, nowe kolosalne zadanie: świadomego twórcy nowej rzeczywistości. Świadomego i równouprawnionego, bo demokracja ludowa stawia kobietę na tej samej płaszczyźnie co i mężczyznę.

Otworzyły się uniwersytety, szkoły, fabryki, urzędy, instytucje przed napływającymi gromadnie kobietami. Pokonany przedwrześniowy system opłat, traktujący inaczej mężczyznę, inaczej kobietę, zupełnie niezależnie od zdolności i wydajności ich pracy, został zrównany nareszcie. Idziemy ku nowemu życiu, nie tylko ku nowej Polsce. Idziemy ku życiu samodzielnemu, ku niezależności materialnej, ku swobodzie naszych decyzyi, wyborów, pragnień. Jesteśmy nadal matkami i żonami, ale jednocześnie razem z naszymi mężami i dziećmi kształtujemy rzeczywistość, w której żyjemy. Zadanie ciężkie, zadanie wyczerpujące, ale przecież spełniające nasze nadzieje. Będziemy czasem zasypiać ciężko zmęczone, ale nareszcie nie z powodu 24 rondli miedzianych.

Rozwój wydarzeń w obecnej Polsce pomaga nam już udźwignąć ciężar obowiązków i w miarę normalizowania się życia pomoc ta stanie się wydatniejszą, istotniejszą, pozwoli nam mocnej zespolić się z warsztatem pracy.

Gdy dziś krawiec, szewc, w instytucji, w której jesteśmy zatrudnione, wyjmie nam z rąk igłę, często nieporadną, doprowadzającą do rozpaczy w braku umiejętności i czasu, jutro otworzy nam dostęp do Związków Zawodowych i Rad Zakładowych, w których dzięki naszemu udziałowi jasny się stanie interes kobiety jako pracownika i interes ten przez wszystkich zostanie wzięty pod uwagę. Gdy dziś otwarty przy instytucji pracy sklep zapewni nam tanie i szybkie załatwienie sprawunków, jutro zorganizowane zbiorowe wycieczki pokażą nam inne kraje, dadzą rozrywkę i możność sprawdzeń, porównań, obserwacyj, stawiających nowe problemy i nowe zadania. Książka, teatr, odczyt, szkoła, kurs, uniwersytet wskaże nam drogę rozwoju i właściwego wykorzystania naszych możliwości. Niech już nie giną wreszcie zdolności i talenty, niech pracowite ręce wydobywają połysk z ważniejszych dziś dla nas przedmiotów, niż długi rząd miedzianych rondli. A wreszcie niech nie marnują się nasze ambicje.

Bo nie jest to prawdą, co twierdzi Balzac tylko o mężczyznach, że po okresie młodzieńczych szałów i igraszek wchodzą w sferę pracy i tu na stałe przykuwają ich zawodowe ambicje silniejsze niż miłość, przywiązanie do kobiety, domu, dziecka i niż wszystko inne na świecie. To nie jest prawem mężczyzny, to jest prawem każdego człowieka i prawem kobiety także. Potrafimy i możemy odnaleźć właściwą hierarchię wartości, w której budowanie nowych form dla nowej rzeczywistości nie jest mniej ważne ,niż dawanie życia dziecku. I w tym może rola kobiety jest jedyna w swoim rodzaju. Nikogo tak jak kobietę nie może głęboko obchodzić co się w Polsce dzieje i jak się dzieje dlatego właśnie, że to ona rodzi i ona wychowuje, ona jest matką. A mądra, świadoma matka powinna wiedzieć, ku czemu prowadzi swoje dziecko: ku życiu, czy ku śmierci. Dlatego musi zapewnić dziecku swojemu nie tylko dach i jedzenie, ale wpływać na wydarzenia tak, aby los jej dziecka był losem żywego człowieka, a nie martwego bohatera. Tak tedy ambicje matki przenoszą się na ambicje człowieka poprzez dom, poprzez naturę na państwo, na świat.

Bo prócz tradycyj miedzianych rondli, tradycyj zgorzkniałych znudzonych niewolnic bezmyślnych lub tragicznych znane są tradycje kobiet wielkich, uczonych, bojowniczek o wolność i sprawiedliwość, pisarek, malarek, twórczyń życia i kultury.

Bo prócz tradycyj miedzianych rondli mamy wielką tradycję lat okupacji niemieckiej, w których kobiety całego świata pokazały, co potrafią i kim mogą być i to już nie w ruchu pojedyńczych jednostek, ale w wielomilionowym ruchu wolnościowym solidarnym systematycznym i trwałym.

Rekompensatą za ten wysiłek jest dzisiejsza niepodległa demokratyczna Polska.

Historia nie zatrzymała jeszcze pióra i dalej pisze i dalej tworzy dzieje, utrwala nowe nasze tradycje. Od nas zależy co zapisze w roku 1946. Od nas zależy, czy powtórzy przeszłość we współczesności, czy będzie piewcą postępu ku świadomemu wolnemu życiu.

Od nas zależy co zapisze w roku 1946 i 1950 i dalej i dalej.

Wanda Żółkiewska.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Fragmenty z notatek

18 luty 1944.

W końcu stycznia, to znaczy parę tygodni temu przyleciał do nas Maniek gajowego z kartką od pani Komarczykowej, że musi się natychmiast widzieć z nami. Pani Komarczykowa oczywiście nazywa się zupełnie inaczej i mieszka na tak zwanych „górach", w piaszczystej fali wzgórków niedaleko od nas, gdzie pobudowała się część ludności sąsiedniej wsi, nie ciesząca się najlepszą sławą. Pani Komarczykowa mieszkała tam ze swoim siedemnastoletnim synem Jankiem, podczas kiedy ojciec rodziny od przeszło roku już nie wychodził z małej drewutni znajdującej się na terenie jednego z domów w pobliskim miasteczku. Janek jest to ładny chłopak, o typowym wiejskim wyglądzie, tak, że bez ryzyka może chodzić wszędzie i pracuje u nas w ogrodzie. Z panią Komarczykową jest gorzej, toteż jeżeli przychodzi do nas (na dole wciąż kwaterują Niemcy) to przekrada się o zmroku tylnymi schodami wprost do pokoju Hani i niezauważona na najczęściej, znika w zmroku chowając się z powrotem na swoje „góry". Mieszka u ludzi poczciwych, choć źle osławionych, którzy nie robią jej żadnych wstrętów i pobierają bardzo mierne komorne. Jak zwykle i tym razem Hania przyjmuje panią K. w sypialnym i wpada do mnie przerażona. Okazuje się, że Janek ma ostry atak ślepej kiszki i prawdopodobnie operacja konieczna jest natychmiast. Co robić? Pani Komarczykowa poszła do domu płacząc, jutro obiecaliśmy jej dać odpowiedź i radę co ma począć. Ale sami nie wiemy co wymyślić. Dawniej można było udać się do szpitala w miasteczku S., lekarz naczelny był dobrze znany ze swej uczynności, ale niedawno właśnie został zaaresztowany za podobną sprawę. Poza tym nie znamy innych szpitali w okolicy; jeżeli chodzi o Warszawę, to także ogarnia nas strach ryzyka. Przy operacji każdy spostrzeże jakiego pochodzenia jest Janek. A wtedy w ręku byle siostry czy felczera jest cały szpital, lekarz naczelny, cały personel. Ja wiem, że to tylko możliwość, ale czy można narażać się na to ryzyko?

— Jedyna droga — mówie do żony, — to jest udać się do doktora W. Powiedzieć mu wszystko, całą prawdę i niech on wtedy osłania całą sprawę swoim autorytetem. On ma taką powagę, że jeżeli weźmie pacjenta pod swoją opiekę, nikt nie będzie śmiał mrugnąć okiem.

— Tak — odpowiada mi żona — ale wiesz jaki doktór W. jest. Straszny cudak i antysemita. Pamiętasz, przed wojną...

Tak, ale jest doktorem i człowiekiem. Musisz jechać do niego. Nazajutrz to jest 1 lutego, Hania pojechała do Warszawy do doktora W. Przyjechała dość późno wieczorem przywożąc wiadomość o zabójstwie Kutschery. Wiadomości, związane z tym zabójstwem były sprzeczne i bardzo fantastyczne. Jedni mówili że zabójcy uciekli samochodem, inni opowiadali, że zginęli wszyscy. Jak zwykle w takich razach krążyły najfantastyczniejsze pogłoski i podawano nigdy nie sprawdzone szczegóły. Wszystko razem zakrawało na bajkę: tak łatwo sprzątnąć najniebezpieczniejszego człowieka w całym GG krwawego inicjatora ulicznych egzekucji, najpotworniejszego pomysłu niemieckich zbirów! W każdym razie fakt został faktem, nie ulegało wątpliwości jedno, że Kutschera został zastrzelony na ulicy w Alejach Ujazdowskich. Po tym opowiadaniu zabieram Hanię na górę.

— Byłaś u doktora?

— Byłam.

— Co powiedział?

— Opowiedziałam mu wszystko. Powiedział, że bierze Janka pod swoją opiekę, że ręczy za niego. Daje mi słowo, że się sam nim zaopiekuje. Jutro z samego rana kazał przyjechać na operację.

Kamień spada mi z serca. Teraz tylko kartka ze wskazówkami dla pani Komarczykowej: jutro przed ósmą Janek ma być w szpitalu, nikt nie ma go odprowadzać, nikomu nie wolno go odwiedzać ani mu nic przesyłać, doktór sam go będzie doglądać o ile zajdzie potrzeba. Sam doktór W. zrobi operację i dopilnuje Janka aż do wyjścia za jakie dziesięć dni ze szpitala. Maniek potajemnie musi zanieść kartkę i wręczyć ją pani Komarczykowej tak, aby nikt nie widział. Już on tam wie. Gospodarze dobrzy, ale lepiej, aby nie widzieli, że ich lokatorka utrzymuje kontakt z nami. Maniek znika z naszą kartką i po jakimś czasie wraca z paru słowami podziękowania nagryzmolonymi na gazecie przez uradowaną matkę.

Nazajutrz jesteśmy pewni swojego. Tym czasem pod wieczór przyjeżdża pewien młodzieniec z Warszawy z prośbą o nocleg. Nazajutrz po zabójstwie Kutschery, o świcie dokonano licznych aresztowań wśród młodzieży, między innymi aresztowano syna doktora. W. Słysząc tę wiadomość spoglądamy na siebie z Hanią pełni rozpaczy. Syn doktora W. jest ukochanym kolegą naszej córki piękny, miły, nie ma jeszcze dwudziestu lat, jest ukochanym jedynakiem starzejących się rodziców. Jego aresztowanie i to w takich okolicznościach jest bardzo niebezpieczne i dla nas bolesne. Ale zagadnienie to komplikuje się jeszcze sprawą Janka. Poszedł do szpitala i co? Przecież doktór W. ma teraz co innego na głowie, a nie sprawę naszego Janka. Gdy chłopak szedł do szpitala miał silne bóle i gorączkę. Co się z nim stało? Co powiedzieć matce, która jeszcze tego wieczora przysłała nam przez Mańka zmiętoszoną kartkę z zapytaniem, czy nic nie wiemy o jej synu i czy operacja się odbyła. Oczywiście odpowiadamy jej, że nic nie wiemy i nie piszemy ani słowa o aresztowaniu małego W. Do doktora w takich strasznych okolicznościach nie zachodzimy. Wreszcie po kilku dniach okólnymi drogami dowiadujemy się przez siostry szpitalne, że operacja Janka odbyła się. Doktór po aresztowaniu syna odwołał wszystkie operacje prócz tej jednej, zrobił ją sam jak to obiecał mojej żonie i chociaż przerwał odtąd operacje i odwiedzanie chorych, zdawszy to na swojego asystenta, codziennie przyjeżdżał do szpitala tylko na odwiedziny Janka. Bronił go całym swoim autorytetem i dotrzymał słowa danego Hani pomimo takich ciężkich okoliczności.

W dziesięć czy dwanaście dni potem Janek był z powrotem. Był tak nierozsądny, że przyleciał do nas z podziękowaniem. Słów nie ma dla doktora W. i dla jego opieki. Przez cały czas, co Janek leżał w szpitalu odwiedzał go codziennie tylko jego. Baliśmy się, żeby kto Janka nie spostrzegł, ale w dzień jego powrotu była gęsta, całodzienna zadymka. Śnieg padał dużymi, lśniącymi płatami mimo mrozu od rana do samego wieczora. Janek niepostrzeżenie wymknął się z domu i znikł w kierunku „górów".

Dowiedzieliśmy się, że syn doktora W. w dzień wyjścia Janka ze szpitala, został rozstrzelany na Pawiaku.

15 lipca

Zdziś Stroiński przyjeżdżał wczoraj po moje przekłady „Illuminacyj" Rimbauda, drukowane jeszcze kiedyś w „Zdroju". Obiecałem mu je dawniej, namawiałem do przeczytania, bo on pisuje także same prozy poetyckie, a Rimbauda nie znał, wywalał więc poniekąd otwarte drzwi. Mówiliśmy o tym dawno, przed rokiem, ale on przez te parę ostatnich miesięcy przesiedział się na Pawiaku, za tego Kopernika. Potem odpoczywał na łonie rodziny i dopiero niedawno wrócił. Przyjechał zaraz do mnie. Ja go najbardziej lubię z całej „Sztuki i Narodu", chociaż uważam go za mniej zdolnego od innych. Tadek Gajcy bije go o głowę. Zdziś ma też do mnie jakieś specjalne zaufanie i przyjeżdża do Stawiska kiedy może. Opowiadał mi, że przeżycia jego na Pawiaku były czymś jedynym i niezapomnianym, ale i przerażającym. Że czuje się teraz jak Dante po powrocie z tamtego świata. Przeżył na Pawiaku najstraszniejsze czasy masowych rozstrzeliwań na ulicach i w ghetcie. Było raz tak, że sam został w celi, wszystkich innych zabrano na rozstrzelanie. Jakim cudem stary Stroiński wyciągnął go z tego Pawiaka to pozostanie chyba tajemnicą miłości rodzicielskiej, która jest uparta, przemyślna i wytrwała. Bywają jednak tacy szczęściarze, jak np. Andrzej B., który bezpośrednio po oblaniu matury i wieczorze tak pełnym poezji na Stawisku, prosto pojechał do więzienia w Hrubieszowie i Zamościu, siedział tam parę miesięcy i w końcu został wypuszczony. To także mnie bardzo cieszyło. Ale Andrzej to typowy obecnie młodzieniec: nie był wcale poszukiwany, choć mógł być, ale dla szyku sprawił sobie fałszywe dokumenty... Zdziś Stroiński opowiedział mi szczegółowo jak to było z tym składaniem wieńca pod pomnikiem Kopernika. Szli oni przez całe miasto o 6-ej rano, latem, więc w biały dzień z tym ogromnym wieńcem, tak że każdy to widział. Przed samym nosem komisariatu policji, gdzie są i żandarmi — bo to się mieści Krakowskie-Przedmieście naprzeciwko pomnika — złożyli ten wieniec i był już spokój. Ale Zdziś zaczął fotografować składanie wieńca, tego już było za dużo i jakiś starszy policjant podszedł leniwie do nich pytając o coś z daleka. A na to Bojarski nie wiele myśląc wyjął rewolwer. Wtedy dopiero zaczęła się strzelanina i ucieczka, w której Bojarski poległ. Zdziś uciekł na ulicę Kopernika, tam wpadł do bramy jakiegoś podwórza i nie mógł wyjść. Ludność zebrana na podwórku przytrzymała go i wydała w ręce żandarmów, nawet nie zdążył wyrzucić aparatu, złapano go z tym corpus delicti w kieszeni. Bojarski zginął na Obożnej. Zdaje się był ciężko ranny i żył jeszcze długo. Mówiliśmy ze Zdzisiem, że cała ta sprawa zrobiona była bardzo po dziecinnemu, bardzo jak przystało na poetów — i trochę rozmijało się z celowością. „No, co pan chce — powiedział do mnie — wiersze pisać to dla nas za mało — chcieliśmy coś zrobić". Czyn złożenia wieńca przed pomnikiem Kopernika, przy którym

trací się dwóch tak wartościowych ludzi — ocalenie Zdzisława należy uważać za cud — wydaje mi się czynem wątpliwej wartości. Może to jednak oceniać inaczej? Tak, jak ja nie umiem?

21 lipca

Właśnie. Szukacie czynu bez żadnego zastanowienia. Strzelanie z broni bo się ją ma w kieszeni — oto zasada. Zanotuję tu zdarzenie, które nie wylęgło się w mojej wyobraźni, ale którego zupełnie nie rozumiem. Wstrzymam się więc od komentarzy. Suche fakty. Od jakiegoś czasu zaplątało się do mnie dwóch młodych poetów. Jeden wysoki dryblas w pelerynie, chudy z czarną potarganą czupryną — zanadto ucharakteryzowany na poetę, zresztą z typowymi manierami; bardzo ironiczny stosunek do mojej osoby i twórczości, przedrwiwanie z mojego mieszkania, a jednocześnie przynoszenie wierszy do oceny i dopytywanie się o zdanie. Zresztą miał okropny sposób deklamowania własnych wierszy na pamięć, co bardzo nieżyczliwie usposabia krytyków. To też ten mi się zdecydowanie nie podobał. Ale drugi jego towarzysz był bardzo miły. Dziecinny, z dużymi szafirowymi oczami, niedużego wzrostu, przypominał mi Jurka Lieberta. I wiersze jego daleko przyjemniejsze od tamtego draba, może nawet za banalne, za podobne do „Obtostychów", coś w tym rodzaju. Słuchałem ich jak zwykle z dużą cierpliwością. Nazwisk ich nie zapamiętałem, a może nawet nie mówili ich. Nazwicka młodych ludzi tak mało teraz znaczą!

Byli u mnie dwa czy trzy razy. Wreszcie ten mały, przyjemniejszy nalega, że musi się ze mną zobaczyć w Warszawie. Że mi przyniesie wiersze, że to, że tamto, te owo. Umawiam się więc z nim n.. wczoraj, na Trębacką, na 3-cią godzinę. Rzeczywiście przychodzi, nawet z wierszami, ale ponieważ byłem bez obiadu zabieram go na dół; o piętro niżej, pod moim mieszkaniem jest mała restauracyjka. Tam jemy razem obiad. W górnej części restauracji gdzie jemy, o tej porze nikogo nie ma. Chłopak pałaszuje co się zowie i w trakcie wcinania kotleta wieprzowego zadaje mi pytania. Rozmawiamy bardzo swobodnie o najrozmaitszych rzeczach, on mnie rozpytuje o początki „Skamandra" i t. d. i t. d.

„Proszę pana — nagle pyta mnie chłopak — a skąd pan bierze pieniądze, żeby tak dostatnio teraz żyć?"

Pytanie bardzo mnie dziwi, ale odpowiadam jak najspokojniej:

„Mój drogi — to wie każde dziecko w Warszawie. Moja żona jest współwłaścicielką Podkowy Leśnej, mamy tam place, sprzedajemy je i z tego żyjemy."

W chłopcu następuje dzika reakcja. Omal mi się nie rzuca na szyję. Jestem jeszcze bardziej zdziwiony.

„Jak ja się cieszę, jak ja się cieszę. Bo gdyby się pan ze swoich pieniędzy nie mógł wytłumaczyć, to znaczy że pan kombinuje z Niemcami... a wtedy... widzi pan, tu przed domem chodzi jeden z moich kolegów z rozpylaczem, a inni czekają o parę domów dalej. Zaraz lecę, wszystko im wytłumaczę. Jak ja się cieszę". I cmokając mnie w przelocie w policzek wyleciał na ulicę, powrócił po dziesięciu minutach, skończył kotlet (za który ja oczywiście płaciłem), wypił kawę z kawałkiem tortu i znowu rozmawialiśmy o poezji skamandryckiej, poczem mały wstał, pożegnał się, o mało nie szurgnął nogą, i poszedł sobie w świat szeroki jemu tylko znany.

Co to było? Nie rozumiem. Ale przypuszczam, że to była prawda. Mieli rozpylacze, trzeba z nich strzelać. Do kogo? Do tych co mają pieniądze, bo to znaczy, że kombinują z Niemcami. A zresztą wszystko jedno do kogo, byle strzelać. Rozpylacze i pistolety, gdy się je długo trzyma bezczynnie wreszcie same wypalą.

Jarosław Iwaszkiewicz

ROMAN KAMIŃSKI

Ulica

Tylko jedno chciałbym widzieć drzewo
w rozchylonym oknie — naprzeciw
ale dawno odjechali serdeczni;

stąd przeczucia niespokojne miewam,
które nie chcą, czy nie mogą odlecieć,
więc samotność jak stary świecznik
postawiłem w szybie gasnącej.

Zatracają się ludzie i rzeczy,
gdy w najcichszy wpatruję się koncert
sypkich kulek o parapet mleczny.

Tyle smutku jest we wnętrzu ulicy
ile tylu w antykwarni mrocznej.
I wiem przecież, że słów nie dolicz

Jedno drzewo! Ostatnia zieloność
naczyłbym aż do pożółkłych liści.
To są chwile, jak oczy znużone...

ROGER GARAUDY

Wielkość i niewola Franciszka Mauriaca

Chcielibyśmy być sprawiedliwi w stosunku do Mauriaca, który nauczył nas buntu. Nie rewolucji, lecz tylko buntu, ponieważ umiał czasem powiedzieć nie, podczas gdy potwierdzenia zgody i radości musieliśmy szukać poza nim i przeciw niemu.

Mniejsza o to! Jego zaprzeczenia były pełne wielkości i za to trzeba mu być wdzięcznym, ponieważ zdobył je z trudem. Pierwsze jego doświadczenia cechowało poddanie się i zależność: „Należę, pisał, w Dieu et Mammon do gatunku tych, którzy, urodzeni w katolicyzmie, zrozumieli skoro tylko dojrzeli, że nigdy nie mogliby go uniknąć, ominąć, uciec. Byli wewnątrz niego, są w nim i pozostaną na zawsze... Jestem urodzony w katolicyzmie; nie wybrałem go; ta religia została mi narzucona od urodzenia".

Można by sądzić, że słyszymy Barrèsa w jego „scenach i doktrynach nacjonalizmu", który mówił jednak o innym bogu: „nie miałem nigdy innych pojęć niż te, w których kąpałem się od urodzenia... Nie ma nawet wolności myślenia. Mogę żyć jedynie podług reguł moich zmarłych... Przerażony własną zależnością, niezdolny do przetworzenia siebie".

Powołując się na Barrèsa z powodu Mauriaca nie wiem czy zaczynam od początku czy od końca, ponieważ Barrès był jego pierwszym mistrzem i jemu właśnie zamykając cykl swego życia poświeca Mauriac w r. 1945 ostatnią książkę: „Spotkanie z Barrèsem". „Młodym mego pokolenia, wyznaje, Barrès ofiarował doktrynę" i mówiąc o swym życiu studenckim, Mauriac wyjawia nam w dwóch wierszach tajemnicę swego kształtowania się: „Byłem niezależny dzięki niewielkiej rencie... Barrès był moją najlepszą podporą. Wychowanie religijne przygotowało mnie do dobrego zrozumienia jego nauki".

Wielka zasługa Mauriaca było to, że znacznie mocniej był on związany z Gironde niż Barrès, kiedykolwiek z Lotaryngią. Nikt równie silnie jak on nie odmalował szlagońskich smolarzy z Landes lub kupców z Bordeaux. Nie jest on jak Balzac kronikarzem całego społeczeństwa francuskiego, lecz tylko jednej warstwy i robi to wspaniale. W Preseances podchodzi do bogatego kupiectwa jeszcze tylko od strony zewnetrznej, od strony próżności. „Kłębowisko żmij" odkrywa je od wewnątrz, od strony skąpstwa. Odsłania on sprężyny klasy, gdzie, według Balzaca, „moneta pięciofrankowa przyczaiła się we wszystkich sumieniach i toczy się we wszystkich zdaniach. W „Kłębowisku żmij" Mauriac osiągnął swój szczyt wielkiego realizmu. Zrywa wszystkie maski: rodziny mieszczańskiej, własności prawomyślnych. Nigdy od czasu „Kuzyna Ponsa" nie oświetlono ostrzejszym światłem zazdrości, chciwości, zawziętości „dramatu rodzinnego", obracającego się wokół pieniędzy. Powieściopisarz musiał być pełen jasnowidzącej nienawiści w stosunku do swojego środowiska, aby nauczył nas nienawidzieć je tak silnie. Pierwsza granica Mauriaca jest wąskość jego pola doświadczenia ludzkiego. Nie umie on tak jak Balzac ogarnąć całego świata. Kiedy któraś z jego postaci opuszcza Gironde, a przede wszystkim wielka tamteisza Burżuazję, staje się już tylko schematycznym i dziwacznym statysta. „Żaden dramat nie może się począć w moim umyśle, wyznaje Mauriac, jeżeli nie umiejscawiam go tam, gdzie zawsze żyłem".

A skutki tego ograniczenia, zobaczymy to później, odbijają się na planie artystycznym.

Mauriac czyni z tego system: „Dlaczego skazywać się na opisywanie mało znanego środowiska? W rzeczywistości nie to jest ważne, czy przedstawia się księżnę, mieszczkę czy przekupkę, sprawa istotna jest dotknięcie prawdy ludzkiej... Człowieczeństwo, którego należy dotknąć, ten podziemny nurt, w tym samym stopniu wydobywa się na powierzchnię życia światowego jak i życia nędzarzu. Każdy z nas daży do miejsca, w którym jest, w którym żył". Mauriac jest największym malarzem mieszczaństwa Girondy. Maluje je z pasją, z pasją nienawiści, w niemożności wyjścia kiedykolwiek poza to mieszczaństwo, pasje i nienawiść.

Mauriac uważa, że istnieje człowiek „wieczny" i że wystarczy zdrapać cienki naboinek społecznej klasy lub historycznej epoki, aby znaleźć niezmienny grunt człowieczeństwa. „Poza zniekształceniami narzuconymi przez nasze biedne zajęcia nam wszystkim uczonym i ignorantom robotnikom i pisarzom, kobietom światowym, kobietom z ludu i kobietom wszelkiego upierzenia, drży we wszystkich epokach zawsze ta sama istota która cierpi, wyrzeka się, zazdrości, zabija lub poświeca się". (Dziennik).

Ten klasyczny mit o wiecznym człowieku utwierdza go w bezwiednej zależności od swojej warstwy: jego wizja świata tak ściśle uwarunkowana przez wychowanie ucznia mariawitów, środowisko wielkiej burżuazji wydawało się mu „wieczną" koniecznością. „Kiedy zaczynam pracować, wszystko przybiera wieczne barwy".

Jego obraz bogatych kupców z Bordeaux i właściciel z Landes jest wielki i mocny. I trzeba to dobrze podkreślić, realizm ten jest zawsze rewolucyjny, skoro nauczył paru z nas drogi komunizmu.

Jak powiedział Balzac nie jest wina autora jeżeli rzeczy mówią same za siebie i mówią „tak głośno".

Nieszczęście Mauriaca polega na tym, że nie wyszedł on nigdy poza swoją klasę... Mimo, że jej nie sądzi i mimo że nią pogardza tkwi jeszcze „wewnątrz" w niej. A mieszczaństwo nie dochodzi nigdy poza swoje „wnętrze". Rodzi ono własnych grabarzy lecz nie nosi ich w sobie. Od wewnątrz można czuć co najwyżej „obrzydzenie" i to jest dramatem Mauriaca.

Żyje w świecie, którym może jedynie pogardzać. I jest przywiązany do tego świata. Jego dwaj najwięksi i najbardziej ukochani bohaterowie należą do tego świata ciałem i duszą. Teresa Desqueyroux ma poczucie własności we krwi, poślubia Bernarda dla jego dwóch tysięcy hektarów sosen w Landes, a bohater „Kłębowiska żmij" jest synem Grandeta i wnukiem Harpagona.

Lecz tym dwóm bohaterom Mauriac dał to co miał najlepszego w sobie: oni także pławią się w świecie, którego nienawidzą. Są oni alegorią Mauriaca. Trując Bernarda Teresa chciałaby zabić „swoje środowisko, swój klimat"— ten, do którego należy Mauriac i który chciałby zniszczyć. Stary poczciwiec „Kłębowiska żmij" zrywa ostatecznie ze swoim skąpstwem tylko na dziesięciu końcowych, budujących stronach powieści. Umiera zbyt wcześnie, aby wypowiedzieć Credo i odkupić swoje życie znakiem krzyża, kroplą święconej wody jak Daniel Trassis, Don Juan „Fleure de feu".

Mauriac daje nam zresztą wcześnie klucz do swoich dwóch ulubionych bohaterów: „Bohater Kłębowiska żmij lub trucicielka Teresa Desqueyroux jakkolwiekby się nie wydawali wstrętni, są pozbawieni jedynej rzeczy, której nienawidzą na świecie i z trudnością mogą znieść w istocie ludzkiej, a którymi są: zaspokojenie i zadowolenie. Są oni niezadowoleni z samych siebie, znają własną nędzę" (Powieściopisarz i jego postacie).

Mauriac odnalazł w obłudniku, opancerzonym egoizmem i bogactwem, istotę stworzoną przez Boga. Człowiek przestaje być zbrodniarzem, jest grzesznikiem. Ma on świadomość swojego upodlenia. Jest on „osobą" ludzką.

Teologia Mauriaca nie idzie nigdy dalej. Wszystko krystalizuje się w pojęciach czystości, grzechu, stanu łaski. Gdy artysta dojrzał, jego spojrzenie wyostrzone zawziętością, nienawiścią dotarło daleko i głęboko lecz jego metafizyka pozostała metafizyką ministranta.

W rzeczywistości ten zarzut zupełnie go nie dotknie. Ponieważ w tej dziedzinie nie ma on pretensji filozofa lecz artysty.

„Dzięki pewnej własności atmosfery, mówi nam jego „Dziennik", próbuję stworzyć widoczny, dotykalny, wonny, katolicki wszechświat grzechu. Ja przyoblekam w ciało grzesznika, którego abstrakcyjną ideę dają nam teologowie."

W tym wszystkim nie chodzi o to aby pomniejszyć Mauriaca: dzięki mocy postaci które stworzył, rzucił wyzwanie swoim wzorom: nie chciał pozostawić ich nietkniętymi. Nie wiem czy ktokolwiek ze „swoich" posłuchał jego wezwania. Dla paru z nas, którzy nie należymy do „swoich", był on budzicielem który „podniósł śpiących z ich puchowego łoża" i za to mu dziękujemy.

Nie dziękujemy mu za to tylko, że oskarżył obłudników swego gatunku robiąc po prostu ich portret, jesteśmy mu wdzięczni i za to że umiał się przeciwstawić ich najcharakterystyczniejszym czynom, umiał powiedzieć nie, w obliczu krwawych nieszporów w Badajer i masakry w Guernica. Bardziej protestował przeciw świętokradztwu niż przeciw nieludzkości. Cóż to ma za znaczenie; protestując przeciw obrazie czynionej Bogu, protestował przeciw gwałtom zadawanym ludowi i to była droga wiodąca do obozu człowieka.

Umiał jeszcze powiedzieć nie zarówno w obliczu Niemców w Paryżu jak i w Bilbao. Tym razem sądziliśmy, że udało mu się uczynić decydujący skok i przełamał barierę klasową. Poza własnym widnokręgiem spostrzegł wzbijające się światło i oświadczył wtedy: „Jedynie Francja robotnicza, ludowa, pozostała wierna Francji poniżonej."

Lecz nie wystarczyło zrozumieć, trzeba było wybrać. Trzeba było przyjąć zbyt wiele rzeczy, których nie znał, zbyt wielu ludzi, których się obawiał. Powrócił do swojej skorupy męczącej i podłej ale „własnej".

Przywiązany do tego świata, którym nie przestał pogardzać i którego zawziął się bronić Mauriac wydany jest rozpaczy. Prawdą jest, że jeśliby świat sprowadzał się do tej warstwy mieszczaństwa, do której ogranicza się społeczne doświadczenie Mauriaca, można by zwątpić w człowieka i jego przyszłość. Znając w człowieku jedynie mieszczańską obłudę i sądząc, że widzi w nim nie mniej „wieczny grzech" nabrał on najgłębszej pogardy dla ludzi. Stąd wywodzi się jego szacunek dla najbardziej przestarzałych koncepcji elity i wodza, jego niechęć do demokracji, strach przed masą, kpiny z „człowieka z masy" kpiny z ludzi. Ten nowy i szyderczy Eklezjasta pełen rozpaczy i pogardy dla człowieka daje nam zdumiewający przykład zależności pisarza od swego środowiska. Oto co klasa i ustrój mogły uczynić z jednego z naszych najdoskonalszych artystów. Ze wspaniałą otwartością malarza namalował potężniej niż cokolwiek innego plugawy świat do którego cały należy. Umiał przekazać nam swoją pasję, swoje oburzenie i nauczyć nas nieodwołalnie zaprzeczenia. A potem niezdolny do rozpoznania nowego rodzącego się człowieka pozostał niewolnikiem tego czego nie umiał nigdy porzucić. Kiedy wzniósł się przed nim nowy świat, cofnął się, cofnął się za przegrodę którą przeklinał tyle razy i tam się tchórzliwie schronił. Dzisiaj pozostały mu jedynie smutne rozważania o swojej klasie.

Powieściopisarz olbrzym nigdy nie mógł zabić Teresy Desqueyroux, lecz karzeł polityczny dał jej umrzeć lub o niej zapomniał. Jego bunt jest martwy. Z każdym dniem nie znający strachu pisarz z „Kłębowiska żmij" skrywa się coraz bardziej za tchórzliwego i zajadłego wydawcę Figara. W Dieu et Mammont odważnie biorąc na siebie odpowiedzialność jako pisarza przedstawia swoje powołanie: „Działając w ten sposób stworzyłem wewnątrz doktryny katolicyzmu przedmiot nieufności jeżeli nie potępienia i pogardy dla moich braci".

Teraz wszystko wróciło na swoje miejsce: Mauriac odnalazł „swoich". Nie mają już okazji gorszyć się lub gniewać. Jest tego samego zdania co i oni o komuniźmie, demokracji lub Związku Radzieckim. Pobożne damy zgadzają się zamknąć oczy na jego przeszłość, która dla nas stanowi jego wielkość; pełne miłosierdzia wybaczają mu „wszystko". Nareszcie stał się „pisarzem katolickim" w tym samym sensie jak był nim Henryk Bordeaux.

Codziennie rano rodzina Maucoudinat i Bernard Desqueyroux czytają z upojeniem jego artykuł w Figarze; dziękują Bogu za nawrócenie syna marnotrawnego.

Mauriacowi pozostaje jedynie ześlizgnięcie się z tej pochyłości, na tych niziuach odnajduje on swoją klasę.

przekład **Marii Castellatti**

JULIUS Z ŻUŁAWSKI

Z podróży

Nie tam, gdzie brzeg wysoki i gdzie niskie wody,
gdzie fala wchodzi w rzeki, z których mglistość ciecze —
lecz tam, gdzie poprzez morze ognistym pochodem
przedarł się aż do gniazda cios dziejowych mieczy —

tam żegluj, by rozpoznać ślady wydarzenia
ku niemieckim wybrzeżom, pod kiloński kanał
i dalej aż na bałtyk, rozbluzgany w pianach —
tam wrak przy wraku sterczy i w głaz się zamie

Tam z krzyżackich okrętów tylko martwe działa
wiszą w próżni, jak rynny, by fala spływała,
gdy wzbierze pióropuszem ponad stos żelastwa...
a burty — aby były przystanią dla ptactwa.

* * *

Płynąć przez pól minowych bezmiary
ścieżkę morzem rysować krętą —
patrzeć w głąb, jak w zatrutą czarę —
to dziś drogi zwycięskich okrętów.

Kłaść tę drogę na mapę żywą?
chwytać czasy na chłodnym uczynk
Na pokładzie pochyłym stać krzyw
z kapitanem częstować się prymką.

Żeglujemy przez morze północne
i przez poboiowiska bałtyku —
nic nam nie jest dalekie, ni obce,
nawet woda i niebo u styku

* * *

Płynę do ciebie przez zielone morze,
a chmury leżą na mokrym pokładzie —
gdy rękę na niebie położę,
wiatr w Kraju włosy twe gładzi.

W bitwach strzaskane kadłuby okrętów
wpół zatopione sterczą na mej drodze —
przez echa i cienie zamętu
do ciebie żegluję co dzień.

Maszty i mewy w tym pędzie
przestrzennym
wędrują ze mną i morzem kołyszą,
brzask upadł na widnokrąg ciemny —
westchnienie z daleka słyszę.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Dziedziczne obciążenie

Byłoby rzeczą śmieszną i szkodliwą zaprzeczać faktom, że uraz antyrosyjski tkwi głęboko w psychice społeczeństwa polskiego drążąc w niej wyraźne ślady niechęci i uprzedzeń. Byłoby śmiesznym i szkodliwym nie liczyć się z faktem, że — mimo historycznej rzeczywistości wyswobodzenia Polski przez Armię Czerwoną — uraz antyrosyjski manifestuje wciąż swą aktywność — i to nie tylko w sferach, które zwykliśmy określać mianem reakcji, kołtuństwa, ciemnoty. Zbyt wielu jest jeszcze w Polsce ludzi, którym utrata skradzionego przez maruderа zegarka przyćmiewa zdolność jasnego widzenia spraw obiektywnych. Bolejąc nad zegarkiem parą butów czy innym przedmiotem utraconej własności, ci ludzie dziwnie łatwo zapominają o tym, że gdyby nie sytuacja, w której te przykre — lecz drobne — wypadki przydarzyć się mogły, byliby już zapewne garścią bezimiennego popiołu, albo czekaliby może w kolejce u wejścia do komór gazowych.

Zależnie od temperamentu indywidualnego i siły działania urazu ludzie dotknięci nim rozmaicie przejawiają swe antyrosyjskie nastroje: od pokątnych szeptów na temat rzekomego ogałacania Polski z dóbr materialnych, poprzez baieczki o 17-ej republice i pomawiania zwolenników sojuszu z Rosją o narodowe zaprzaństwo, aż do „akcji bezpośredniej", mordowania żołnierzy radzieckich i niszczenia pomników ku czci poległych za wolność własną i naszą.

Uraz antyrosyjski w psychice polskiej nie jest zjawiskiem przypadkowym ani niespodziewanym. Jego treść nawarstwiała się w ciągu długich dziesięcioleci, rosła i potężniała, podsycana siłą niewątpliwych faktów. Nikt przecież nie przekreśli historycznej prawdy, że Rosja carska wzięła udział w zbrodni rozbiorów Polski, że panowanie władzy carskiej na ziemiach polskich było dla naszego narodu przyczyną wielu nieszczęść i klęsk niezapomnianych. Uczciwi i przenikliwi patrioci rosyjscy, jak np. Lenin, zdawali sobie dobrze sprawę z istnienia całkiem naturalnych i realnych uzasadnień wrogości Polaków wobec Rosji — wszystko jedno jakiej. Niedawno Celina Bobińska w artykule pt. „Notatki o Leninie" przypomniała w „Kuźnicy" (Nr 6 (24) znamienną opinię Lenina z r. 1917: „Polityka Polski jest na skutek długiego ucisku ze strony Rosji polityką całkowicie narodową i cały naród polski na wskroś przesiąknięty jest jedną myślą o zemście nad Moskalami. Nikt tak nie uciskał Polaków jak naród rosyjski. Naród rosyjski był w rękach carów katem niepodległości polskiej".

Tego „kata niepodległości polskiej" duża część Polaków nie przestała upatrywać i dziś w narodzie rosyjskim, mimo że nowa Rosja październikowa już w r. 1917 zrzekła się uroczyście wszelkich praw zaborczych proklamując pełną niepodległość i suwerenność Polski. Ale o fakcie tym wielu po dziś dzień zapomina. Żyją natomiast w pamięci polskiej inne doznania i doświadczenia, utrudniające likwidację zastarzałego urazu. Skąd pochodzi uporczywość i siła jego trwania?

Literatura i oficjalna historiografia utrwalała mocno w pamięci Polaków postacie i działalność Nowosilcowów, Paskiewiczów, Murawiewów, ale nie mówiła nic albo bardzo mało o dekabrystach, Hercenie, Czernyszewskim, o ideologicznej wspólnocie polskich ruchów wyzwoleńczych z prądami wolnościowymi starej Rosji. Przeciętny Polak niezbyt się interesował działalnością Plechanowa, Lenina, krwawą i ofiarną walką proletariatu rosyjskiego z carskim absolutyzmem, bo dla przeciętnego Polaka jedynymi przedstawicielami narodu rosyjskiego i Rosji byli: stójkowy, żandarm, nauczyciel — rusyfikator, urzędnik — łapownik, sprawujący władzę w „Prywiślańskim Kraju".

Wśród silnych reakcyj emocjonalnych zatracał się fakt niewątpliwy, że Rosjanie, nasyłani do służby w Polsce, reprezentowali w ogromnej większości najgorsze elementy narodu rosyjskiego. Byli to ludzie skompromitowani moralnie na terenie Rosji i poszukujący łatwej ekspiacji w gorliwym rusyfikowaniu Polski, albo też po prostu karierowicze, znęceni do służby w Polsce perspektywą specjalnych przywilejów i pieniężnych „dodatków kresowych". Uczciwi Rosjanie przeważnie z lekceważeniem a nawet z pogardą oceniali tę czynowniczo-żandarmską bandę, popisującą się niesławnie na rdzennie polskiej ziemi. Bo w społeczeństwie rosyjskim, pomijając najciemniejsze i najwstecznicjsze jego odłamy, nie było jakiejś żywiołowej, organicznej niechęci czy wrogości w stosunku do narodu polskiego.

Potwierdzić to musi każdy, kto z tych czy innych przyczyn stykał się z Rosjanami w Rosji i miał możność poznać ich prawdziwe poglądy. W trudnym i burzliwym okresie 1914—1918 przebyłem w Rosji prawie cztery lata mając bliskie kontakty z różnymi warstwami narodu rosyjskiego, w rozmaitych sytuacjach i okolicznościach. Nie spotkała mnie nigdy i nigdzie najmniejsza przykrość z powodu mej polskości, przeciwnie byłem nieraz z tego tytułu — może nawet niezasłużenie — wyróżniany. Codzienna obserwacja może dziś pouczyć, że największą nienawiścią ku Rosji dyszą ci, którzy jej nie znają, którzy o narodzie i życiu rosyjskim nie mają najsłabszego pojęcia. Jest to przeważnie pokolenie młodsze, wyrosłe w klimacie „drugiej Niepodległości", co właśnie w tym przypadku stanowi czynnik — determinujący.

Bo cóż przyniosło ostatnie 25-lecie w dziedzinie stosunków polsko - rosyjskich? Wyprawa kijowska, podjęta w obronie kresowych latyfundiów, nie mogła pozostać bez wpływu na temperaturę i charakter tych stosunków, musiała wywołać w masach rosyjskich conajmniej przykre i niechętne dla „pańskiej" Polski zdumienie, że oto wojska ledwie powstałego do niepodległego bytu kraju nachodzą ziemie nieswoje stając w jednym szeregu obok interwencjonistów dalekich krajów kapitalistycznych.

Mimo, że kierownicze czynniki radzieckie w swych urzędowych wystąpieniach starały się zawsze odgradzać naród polski od awantury piłsudczyków, faktem jest przecież, że Piłsudski powiódł armię polską już nie przeciwko armiom carskim, lecz przeciw wojsku chłopów i robotników rosyjskich, którzy w niesłychanie ciężkich i skomplikowanych warunkach przystępowali do wznoszenia zrębów nowego państwa socjalistycznego.

Traktat ryski nie przyniósł we współżyciu polsko - rosyjskim pożądanego dla obu stron odprężenia. Wydaje się bardzo prawdopodobnym, że gdyby ówczesne aspiracje terytorialne Polski były skromniejsze, współżycie to nabrałoby innego wyrazu, w korzystniejszy dla nas sposób potoczyłyby się wypadki w r. 1939 i — późniejsze aż do czasów najbliższych. Reakcyjne rządy polskie, „Chienopiast" czy „sanacja", z jednaką uporczywością stały we froncie antyrosyjskim, tłumacząc to dogodnym pretekstem: obrony Polski przed „bolszewizacją". Jak wyglądała ta obrona w latach bezpośrednio przedwojennych, pamiętamy wszyscy doskonale.

W ogólnych ramach profaszystowskiej i antyradzieckiej polityki Becka dozło przecież do tego, że zabraniano w Polsce przekładów z literatury rosyjskiej, a ludzi, którzy wykazywali żywsze zainteresowanie sprawami ZSRR traktowano w czambuł jako „antypaństwowców". Jeszcze latem 1939 r. urzędowa Polska odrzuciła propozycję pomocy rosyjskiej przeciwko wiszącej już nad nami niemieckiej agresji. Ten czyn szaleńczy miał, jak wiemy, i bezpośrednie i dalej sięgające konsekwencje, grożące formalną zagładą nie tylko polskiej państwowości, ale i narodu polskiego.

Dzisiaj, gdy bogatsi jesteśmy o sumę straszliwych doświadczeń i w zmienionej dogłębnie koniunkturze powojennej sprawa radykalnego usunięcia antyrosyjskiego urazu staje się dla odrodzonej Polski koniecznością narodową i państwową. Sojusz ze Związkiem Radzieckim, gwarantujący nam najpewniej nienaruszalność granic i możność wszechstronnego rozkwitu, musi przejść z kart umów i traktatów w żywą, czynną świadomość społeczeństwa, musi się stać w równej mierze kwestią plemiennej bliskości i sympatii, jak nakazem zbiorowej przezorności i politycznego rozumu.

W dziale terapii niebezpiecznego dla przyszłości polskiej urazu otwiera się rozległe pole do działania przed naszym szkolnictwem wszystkich stopni, które w nauce historii powinno oczyścić jak najrychlej zagadnienie stosunków polsko - rosyjskich z wszelkiej własnej i obcej „iłowajszczyzny". Pole do działania stoi tu otworem również przed Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które szeregiem poważnych odczytów, wygłaszanych w różnych ośrodkach przez polskich i rosyjskich historyków, mogłoby w dużej mierze przyczynić się do uzdrowienia w społeczeństwie polskim wiedzy o Rosji, Rosjanach i dziejach rosyjskich. Poważne znaczenie w tym względzie będą miały zbiorowe wycieczki, zwłaszcza młodzieży, do ZSRR, nic bowiem tak nie uczy i nie przekonywa, jak bezpośrednie, naoczne zbliżenie. Konieczność stałej i żywej wymiany kulturalno-artystycznej narzuca się bez szerokich uzasadnień.

To jest program realny, nie przesadny, nie wygórowany. Jego wykonanie oznaczać będzie, na tle ogólnych zasad naszej polityki państwowej, wyzbycie się wreszcie klątwy dziedzicznego obciążenia, które w sposób tak fatalny paczyło linię zdrowych i trzeźwych koncepcji polsko - rosyjskiego współżycia.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Dokąd wiedzie ta droga?

Zapytany, co ma być w Polsce nowej, która powstanie w miejscu tej, co była przed wrześniem, polski podchorąży z francuskiego Coetquidan wiosną roku 1940 na placówce bojowej pod Narvik, odpowiada przyjaciołowi: „Żaden program, żaden frazes. Mam ochotę walić po mordzie, gdy mi się znowu nagrywa stare płyty z frazesami"... A dalej „Znowu „świat pracy" ieszcze ich mętna „sprawiedliwość społeczna"? Jeszcze dobra staruszka wszelkich demagogów „reforma rolna"? Może jeszcze „ustrój socjalistyczny"? Ileż razy, mój drogi, jak zły liczman, kręciła się w Polsce ta płyta, wypożyczana sobie przez wszystkie kolejne rządy i przez wszystkie prawie stronnictwa? Powiedz to jeszcze żołnierzom. Poszukaj entuzjazmu!"

Zdopingowany dalszym pytaniem, co wobec tego, rzuca: odmiana, po prostu odmiana". Po czym wpada na sformułowanie: „Co musi przyjść przede wszystkim, co musi wszystko zacząć i poprzedzić, — to prawdziwa odmiana w Polsce stosunku człowieka do człowieka". I snuje dalej rozważania w tym duchu.

Czy może być wierniejsze, uczciwsze sprawozdanie ze stanu młodych umysłów, nie tylko tam, pod kołem podbiegunowym, nie tylko wśród młodzieży z brygady podhalańskiej, i tych co lecieli z ładunkiem bomb z Wyspy nad Berlin, ale także i tych, co w kraju dokonywali zamachów na Kuscherę, odbicia więźniów z Pawiaka na ulicy Długiej, czy usunięcia niemieckiej tablicy z pomnika Kopernika? Czy może być lepiej oddany nastrój zapału i wiary, a zarazem znużenia i niesmaku największego oddania, a zarazem postawy przerzucającej jakąkolwiek myśl o konkretnej zmianie czegokolwiek w Polsce — w mglistą i odległą nieokreśloność?

Ktokolwiek zetknął się choćby przelotnie z najofiarniejszą młodzieżą podziemnej Warszawy, z bojowcami Szarych Szeregów, o płomiennym idealiźmie, o bezgranicznej pogardzie śmierci, — przyzna: tak było. Ta należąca już niemal do narodowej tradycji zdolność czynienia rachunków sumienia ex post, dziecięca choroba „lewicowości" (w najlepszym razie) — wyrażona pragnieniem, aby było dobrze, aby było inaczej, aby świat był inny, aby ludzie byli inni. I nieuchronny wniosek, gruntowany na podziemnych konwentyklach ideowych przez autorytety zarówno laickie, jak i spod znaku głoszących „postawę katolicką", że przede wszystkim nastąpić musi „zmiana człowieka", „przeobrażenie człowieka". **Że człowiek** musi być inny!

Jesteście rozbrajająco naiwni, namiętnie rozdyskutowani, sympatyczni podchorążowie z Coetquidan w waszym zmartwieniu, kto z was to wszystko do Polski doniesie! Choćbyście mieli wyginąć wszyscy wśród śniegów Narwiku i piasków Libii, co zresztą, realnie rzecz biorąc, przy angielskim systemie prowadzenia wojny mniej wam grozi niż waszym kolegom, ciskającym w okupowanej Warszawie bomby pod nogi gestapowcom — wasz sposób myślenia i wasze piękne ideały nie pozostaną obce dla kraju! Przeciwnie w każdym jego zakątku, w tym samym czasie, kiedy wy płynąć będziecie pod trzepocącą polską banderą przez Morze Północne i kiedy tkwić będziecie na pustynnych pozycjach pod El Alamein, i kiedy zamknięci w żelaznych czołgach, pod deszczem kwiatów rzucanych przez uwolnioną ludność Francji, będziecie parli wprzód z pod Falaise w stronę Renu, — w kraju rodzić się będzie owa myśl szlachetna, lecz mało praktyczna, czujna, lecz przy tym leniwa, i — do tego, aby być doprowadzoną do końca — pozbawiona najistotniejszego narzędzia porządkującego.

Jesteście dobrym, najlepszym materiałem. Czy jednak zrodzą się z was twórcy owej „odmiany", której pragniecie, a do której przejawów realnych, macie z góry stosunek sceptyczny, bo was raz oszukano w dzieciństwie?

Nie jest prawdą przekonanie podchorążych spod Narwik, małej garstki idealistów, zawieszonej w próżni między światem zawodowej kadry oficerów — rutyniarzy i światem żołnierza-emigranta, pariasa Polski, dawnej, że **oni**, jedynie **oni** tworzą w tej emigracji polskiej „nowy naprawdę świat". Przypatrując się z sympatią ich szlachetnemu burzeniu się, wiemy, my, dzisiaj, z perspektywy osiągniętych lub stojących jeszcze przed nami celów, — ile w tej postawie było złudzenia: ile majaków i miraży, nieprawdziwych snów i urojonych piękności kryła w sobie droga, która wiodła także przez Narwik!

Dokąd wiodła ta droga?

Doświadczenia tych, co przeżyli zawód wrześniowej klęski i stanowili żywą, niespokojną myśl w szeregach tego osobliwego wojska, gdzie górnik z kopalni w Lille słuchał komendy zawodowego sierżanta i majora-bohatera zaleszczyckiej szosy, a pomiędzy nimi stał młody, łatwozapalny wychowanek emigracyjnej podchorążówki, były poeta lub malarz, czasem kandydat na dyplomatę, prawnik lub inżynier — doświadczenia te, bądźmy szczerzy, — nie sięgały zbyt głęboko. Przekonanie o tym, że „zamknęliśmy ostatecznie dzieje wszelkich husarii, ułanów, szwoleżerów, kirasjerów", że świat Sławojów, Rydzów i dożynek w Spale musiał runąć, a bezduszny dryl wojskowy w nowoczesnej wojnie jest niekoniecznie metodą najlepszą do osiągnięcia zwycięstwa — to **część drogi**, ale to przecież ostatecznie **nie jest zbyt wiele.**

Wiara w zmianę stosunku człowieka do człowieka? W jaki sposób? Przez co spowodowana? Na jakiej podstawie? I któż ma ten stosunek zmienić? Ten, kto rozumie — uczynił to już. Tępy żołdak, nierozumiejący niczego— nie zmieni się ani na jotę, jeżeli **nie zmienimy** warunków, w jakich zmiana człowieka **może** nastąpić.

Ale harcerze i podchorążowie z Coetquidan tego faktu na ogół nie dostrzegają. Słuchając ich rozmów można powiedzieć, że **nawet nie** są na drodze do zobaczenia, co i dla **czego** dzieli ich od możliwości tworzenia Polski konkretnej, realnej, wolnej od niekończących się rachunków sumienia, budowanej nie ze szkła marzeń, ale z cegły, zmieniającej nie człowieka wprzód po to, aby zmienił warunki, lecz warunki po to, aby w przyszłości zmieniły człowieka.

Podchorążowie z Coetquidan i podchorążowie z Polski, występujący jako bohaterowie opowieści Ksawerego Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narwik" są najlepsi w świecie polskiej emigracji zachodniej, najuczciwsi, najszlachetniejsi i najwartościowsi. Są zawieszeni w społecznej próżni, mniejsza o to, że wśród ludzi, dla których ich problemy są niezrozumiałe, gorzej że bez kontaktu z jakimkolwiek głosem, który by popchnął ich **właśnie** tam, **gdzie z ich postawą bezinteresowną i szukającą iść powinni**, właśnie na **drogę postępu traktowanego od strony realnej, nie** od strony idealistycznych mrzonek.

Nie będziemy w błędzie, twierdząc, że ten sam brak, to samo zbłąkanie i brak linii przewodniej ciążył nad najlepszymi nie tylko pod Narwik wiosną 1940 roku i nie tylko na emigracji, ale jeśli chodzi o większość młodzieży inteligenckiej, również i w kraju, w okresie okupacji.

Kamienie na szaniec!

Tak, kamieniami rzuconymi na szaniec stały się najbardziej ofiarne zrywy tej młodzieży, niewiedzącej na ogół co można ze siebie dać więcej niż własne życie, nie widzącej, aby można było dać coś więcej, skoro to było przecież najważniejsze: charakter, ofiara ze siebie, przemiana człowieka.

W postawie Ksawerego Pruszyńskiego, wrażliwego obserwatora i czujnego odbiorcy, przekazującego nam obraz świata, jaki widział wokół siebie i w życiu którego brał udział, zaznacza się tu i ówdzie próba buntu przeciwko takiemu myśleniu. I rzecz charakterystyczna: oto najtrzeźwiejszy głos krytyki, głos rozsądku i myśli racjonalistycznej włożony jest w usta obce, w usta wroga, mniejsza o to, że najzupełniej dowolnie, a nawet z punktu widzenia czy to psychologicznego, czy konstrukcyjnego wadliwie. Ma to swoją wymowę, że jako oskarżenie z zewnątrz pada słowo o kraju, „który nie lubi czytać a pisać lubi jak najmętniej", gdzie resztkę ludzi wykształconych i fachowych marnuje się, czyniąc z nich ofiarę ślepego, szeregowego bohaterstwa. „Czy myślicie, że jeśli z dobrego urzędnika służby dyplomatycznej uzyskacie dobrego celowniczego w drużynie strzeleckiej, to potem z lada celowniczego uzyskacie

z tą samą łatwością dobrego urzędnika służby dyplomatycznej?". Tak mówi lotnik niemiecki, w którego kraju wszystko wyzyskane jest rzekomo do maksimum, racjonalnie i precyzyjnie: nawet niszczenie nie może być bezmyślne. Niemiec jest nieprawdziwy, papierowy, nierealny, jego wyobrażenie o własnym kraju także, ale bo też nie o to chodzi w tej opowieści, gdzie pięciu czy sześciu podchorążych-rezonerów — także snuje jedynie monolog rozłożony na głosy: podobni są do siebie, jak krople wody: ów Czeczel, Stecki, Płużański, Banaś, Kettler — mimo zaznaczonych tu i ówdzie indywidualnych różnic. Głos młodego Niemca, leżącego w norweskim szpitalu na wspólnej sali z harcerzem z Pomorza — to przecież równie dobrze własny głos tego ostatniego.

Podobnie, zastanawiająca, niezwykła postać weterana wojny hiszpańskiej — kaprala Grudy może być wprawdzie rzeczywista, czyni jednak na nas wrażenie wydobytej z arsenału dawniejszych wspomnień autora reportaży o czerwonej Hiszpanii. Jaką rolę pełni ów snujący się pośród młodych inteligentów i ledwie zaznaczonych piórem postaci żołnierskich — podejrzliwy „rewolucjonista" — „na węch" czujący w niewyraźnym sierżancie (pewnie z „dwójki" niemieckiego szpicla i mimo ponurości oraz niezbyt przyjemnych pozorów — budzący ogólną sympatię? Po co jest potrzebny, jeśli nie do pokazania, że jednak serca młodych rycerzy wolności z Polski otwarte są dla tego, co wraz z Grudą wchodzi jako problem w ich sposób myślenia, tak, jak otwarte były oczy Pruszyńskiego, na bohaterstwo Czerwonych pod Guadalajara i Teruelem.

Bo podkreślić trzeba raz jeszcze: postawa myślowa tych spod Narwik, tak jak postawa tych, co w kraju marzyli o Polsce lepszej, Polsce „innej" — nie jest postawą, która by budziła jakiekolwiek zastrzeżenia, póki zajmuje stanowisko wyjściowe, póki jest „drogą do" ludzi młodych, którzy jeszcze nie znaleźli kierunku. To jest postawa twórcza, najlepsza, najpiękniejsza. Dopiero kiedy padać zaczynają zatrute słowa o przemianie wprzód człowieka nim zmieni się cokolwiek innego, kiedy zaczyna grać usypiająca muzyka polskiego chochoła o tym, że „cosi, kajsi, gdzieśi", a w niej sentymentalnieje i Narwik, i „Kamienie na szaniec", i czerwona Hiszpania, a reforma rolna staje się frazesem — wtedy, moi panowie, jest źle!

Droga wiodła przez Narwik uczciwych, szlachetnych i naiwnych polskich chłopców, jakich może nie zawielu, ale i niezbyt mało ma kraj nasz, jakimi obsiane są dziś cmentarze Polski, Ukrainy, Włoch, Francji, Norwegii i Afryki, z jakich mało który poszedł myślami dalej, stanął z nimi na twardej glebie rzeczywistości, nie frazeologicznej, lecz tej codziennej, gdzie słowo „odmiana" ma swój konkretny odpowiednik w przekształceniu urządzeń gospodarczych i instytucji życia zbiorowego.

Podchorążowie, cenzusowcy z Polski przedwrześniowej nie chcieli dać się nabrać na reformę rolną. Dziś, kiedy jest już zrobiona, będą mogli przekonać się wkrótce, że zarówno ona, jak i nacjonalizacja przemysłu, oraz inne zmiany realne w układzie sił społecznych i ekonomicznych będą miały wpływ na człowieka. Trudno twierdzić, że uczynią z niego ideał: to pewna jednak, że służyć będą skuteczniej niż nakazy moralne zanikowi przeżytych form stosunku pomiędzy ludźmi, tworząc formy nowe. A to się właśnie nazywa postępem.

Opowieść Pruszyńskiego nie jest historią, kroniką, pamiętnikiem ani reportażem, — jak podkreśla w przedmowie autor — ale nie jest też — jak błędnie zaznaczył wydawca w tytule — powieścią: maleńkie „o" jest niezbędne, aby zrozumieć, że ludzie, choć nie są tu „identyczni" (co miałoby miejsce, gdyby szło o historię, kronikę, pamiętnik) — są jednak „autentyczni", **zbyt autentyczni, aby byli literacko prawdziwi.** Poruszam tu w zakończeniu ten formalny problem nie dlatego, aby autorowi, świetnemu publicyście o literackim zacięciu czynić zarzut z przedstawienia oglądanego przezeń świata, tak jak go zobaczył, w żywym, niesfałszowanym przekroju, oddającym „bardziej niż prawdę ścisłą działań wojennych" — „prawdę najściślejszą procesów myśli, przemian duchowych, nastrojów" lecz aby stwierdzić, — w przypomnieniu toczonej niedawno dyskusji na temat realizmu — jeszcze jeden przykład tego, jak notowany z najnaturalniejszą prostotą tok ludzkich myśli i towarzyszących im wydarzeń — nie stwarza sam przez się, nie modeluje, nawet jeśli dopuszcza się szeregu zmyśleń i sytuacji nie pokrywających się z tym, co „było naprawdę" — pełniej, artystycznej wizji świata. Opowieść Pruszyńskiego stanowi udramatyzowany lub w formie narracyjna ujęty i artystycznie wyretuszowany obraz zagadnień, które w książce tej żyją niezależnie od postaci, postaci te zaś służą im jako podpórki. Postaci znane są nam dobrze znamy ich świat, atmosferę z której wyrosły i na dziś wolimy może nawet ten świeży szkic bez tła, które sami stanowimy. A zresztą, może właśnie taki obraz posłuży później komuś, jako tło do pełniejszej literackiej fikcji.

Ryszard Matuszewski

Na wielkiej fali

JERZY BARSKI

Czyste rasy i mętne łby

W głowach przywódców hitleryzmu lęgły się plany hodowli czystych ras ludzkich a w szczególności czystej rasy nordyków. Oczywiście, chodzić mogło — ze względu na techniczną wykonalność tego przedsięwzięcia — tylko o ersatz — rasę. Teoretycy tej hodowli musieli ograniczyć się w doborze typów rozpłodowych do standaryzacji kilku zaledwie cech antropologicznych barwy włosów, oczu i wymiarów czaszkowych. Ale w gruncie rzeczy i tak ograniczona impreza miała służyć jedynie jako pompatycznie udrapowany parawan dla ordynarnego niemieckiego nacjonalizmu.

Dobór i hodowla jasnowłosych SS-drabów bardziej wiąże się z tradycjami pułku wielkoludów Fryderyka Wielkiego, do którego porywano rosłych chłopców z całej Europy, aniżeli z jakąkolwiek, nawet najbardziej naciągniętą, teorią biologiczną.

Chodzi bowiem o to, że nawet pobieżne zapoznanie się ze składem antropologicznym Niemców wykazuje, że są oni jednym z najbardziej mieszanych pod względem rasowym narodów europejskich. Bogactwem składników rasowych nie ustępują może tylko Żydom. Wśród Niemców w różnym, zależnym od okręgu, procencie występują wszystkie cztery zasadnicze składniki antropologiczne człowieka europejskiego. A więc obok długogłowych, jasnowłosych nordyków — reprezentowanych mniej więcej w tej samej liczbie co wśród Polaków i Rosjan — ciemnowłosi, śniadzi i długogłowi śródziemnomorcy znacznie liczniejsi na zachodzie Niemiec niż w Polsce. Poza tym antropolog natrafia w Niemczech południowych, w Bawarii i w Szwarcwaldzie, na pas o przewadze ludności laponoidalnej o stosunkowo wypukłych kościach policzkowych, okrągłej głowie, szerokiej i płaskiej twarzy. Pas będący wyraźnym przedłużeniem podobnego ugrupowania tejże ludności u podgórza Karpat, na Śląsku i w Łużycach. Pokaźna jest też wśród Niemców domieszka typu armenoidalnego, odznaczającego się ciemnym kędzierzawym owłosieniem, trójkątną twarzą i wąskim, wydatnym nosem.

Koncepcja wyższej rasy w praktyce politycznej została zastosowana po raz pierwszy przez Anglików, gdy ci zetknęli się w ramach swego imperium z kolorowymi odmianami rodzaju ludzkiego. Niemcy w tępocie swojej i tak właściwym im dążeniu do stworzenia absolutnego, wszechogarniającego systemu — skonstruowali koncepcje rasową dla potrzeb wewnątrzeuropejskich. Wyszło z tego horendalne głupstwo, z którego sami nie zawsze umieli się wyplątać, ale brnęli w nim do końca z uporem szaleńców.

Alfą i omegą teorii hitlerowskich była rzekoma odrębność rasowa Żydów, którą głosili wbrew stwierdzanej często przez nich samych rzeczywistości. Na tym świadomym kłamstwie oparli oni uzasadnienie najstraszliwszej zbrodni popełnionej na milionach ludzi.

Niezwykle ciekawe i znamienne są wyniki badań składu rasowego Żydów polskich przytoczone przez znakomitego uczonego polskiego, profesora antropologii uniwersytetu Jana Kazimierza — Jana Czekanowskiego. Żydzi warszawscy wykazywali według tych danych 26,3 proc. typu nordycznego 21,0 proc. typu śródziemnomorskiego (charakterystycznego dla Włochów i Hiszpanów), 20,2 proc. armenoidalnego, 18,3 proc. typu laponoidalnego i zaledwie 14,1 proc. typu orientalno-semickiego. Prof. Czekanowski powiada w swej książce „Żydzi warszawscy wykazują wielkie podobieństwo do ludności Niemiec środkowych, reprezentowanych przez mnichów klasztoru Lorsch koło Wormacji w Hesji z VII po XVII w. ek. Przypuszczalnie jeszcze bardziej będą oni podobni do ludności sąsiedniej Frankonii, posiadającej nieco wyższe odsetki składników nordycznego i armenoidalnego". I dalej: „W ostatnim tysiącleciu zachowują Żydzi skład rasowy ludności krajów, w których żyli przedtem. I tak Żydzi warszawscy posiadają skład podobny do ludności Niemiec środkowych... Żydzi litewscy wykazują uderzające podobieństwo do Kijowian XII – XIII wieku" itd.

Kunsztownie zbudowana machina trzeciej Rzeszy runęła, rozbiegli się na wszystkie strony tępi funkcjonariusze rasistowskich zbrodni. Ale przyznać wypada, że postulat ideologiczny hitleryzmu nie został ani przezwyciężony ani zapomniany. Pewne pojęcia rasizmu po dziś dzień pokutują i w naszym społeczeństwie.

Typowym tego rodzaju przesądem jest przypisywanie składowi rasowemu poszczególnych narodów decydującego znaczenia w kształtowaniu się ich historii i oblicza, a głównie oblicza duchowego i kulturalnego. Przede wszystkim jest sprawą zupełnie otwartą, czy różnicom w barwie oczu i skóry, w wymiarach czaszki — tym podstawowym, jak dotychczas, kryterium antropologii — nawet w wypadku, gdy różnice te są najbardziej jaskrawe, towarzyszą równie skrajnie zróżnicowane *struktury psychiczne*. Słowem, nie dowiedziono jak narazie w sposób niezbity i dość obiektywny, że grupa ludzi o zbliżonych wymiarach czaszki i podobnej pigmentacji różni się swym usposobieniem, zdolnościami i skłonnościami w sposób zasadniczy od drugiej grupy o innych wymiarach kraniologicznych i odmiennym kolorycie. Powstaje pytanie, czy bodaj nie do tego sprowadza się istota wyższości człowieka nad zwierzęciem, a przynajmniej w tym najdobitniej się wyraża — że, podczas gdy u psów i koni, gęsi i świń w zakresie jednej rasy poszczególne egzemplarze bardzo są do siebie zbliżone, u ludzi zespół mózgu i gruczołów wydzielania wewnętrznego jest tak stosunkowo potężnym czynnikiem rozwojowym, że cechy cielesne jak wymiary czaszki i pigmentacja wnoszą do charakterystyki człowieka bardzo niewiele.

Wojna nauczyła nas wielu rzeczy. Między innymi nauczyła każdego i poglądowej antropologii. Któż nie zetknął się z setkami ludzi różnych narodowości. Któż z nas w owe dni, gdy przez ulice miast polskich przechodziły tłumy uwolnionych z niemieckich obozów jeńców i więźniów, nie wpatrywał się z zainteresowaniem w setki rozmaitych obcych twarzy. I któż z nas przy tej sposobności nie stwierdził, jak pstrą mieszaniną fizjonomii są Włosi i Francuzi, Rosjanie, Czesi lub Holendrzy. Oczywiście, każdy z tych narodów reprezentuje swoistą mozaikę antropologiczną, w której przewagę ma ten czy ów typ rasowy. Tym niemniej rzuca się w oczy, że narodowość ze wszystkimi jej cechami charakterystycznymi wyciska piętno na swym przedstawicielu zupełnie niezależnie od jego fizjonomii. W obcowaniu z cudzoziemcami poznajemy i wyrabiamy sobie najogólniejsze zdanie o Francuzach i Anglikach, Rosjanach i Ormianach, Czechach czy Szwedach. Natomiast trudno nam jest cokolwiek powiedzieć o nordykach i śródziemnomorcach, Iapono'dach i armeno'dach — jako o typach psychologicznych i kulturalnych.

Panorama antropologiczna sama przez się najlepiej o tym świadczy, że podział rasowy idzie w poprzek istniejącego i, jak dotychczas, bardzo ostrego i trwałego podziału narodowościowego. Norwegowie i Szwedzi mimo podobnego do północnych Niemców składu rasowego, nie poczuli wbrew najbardziej kuszącym propozycjom, żadnego pociągu do zbratania się z niefortunnymi głosicielami nordyckiego rasizmu. W rzeczywistości istnieje w społeczeństwach więź narodowa, klasowa czy religijna — natomiast więź rasowa jest czczym i sztucznym wymysłem. Są to zjawiska zdawało by się oczywiste, tym niemniej często jeszcze u nas niektórzy ludzie powtarzają bezmyślnie formuły niemieckiego zbankrutowanego rasizmu. Słyszy się na przykład często powiedzenia „aryjczyk" i „niearyjczyk". Przy tym „niearyjczyk" oznacza, że ów ktoś jest narodowości albo wyznania żydowskiego, zaś aryjczycy to wszyscy pozostali. Jest to oczywista brednia. Z punktu widzenia antropologii Żydzi są takimi samymi „aryjczykami" to znaczy przynależnymi do szczepu indoeuropejskiego jak i wszyscy inni europejczycy.

Jak już wspominałem, obraz antropologiczny Żydów jest mieszany i całkowicie przesiąknięty składnikami rasowymi ludów europejskich wśród których żyli oni w ciągu ostatnich dwóch tysiącleci. Jeśli chodzi o domieszkę typu semickiego - orientalnego, to występuje ona, przynajmniej u Żydów polskich, w stopniu bardziej nieznacznym niż u Hiszpanów i południowych Włochów.

Ciekawą jest rzeczą, że brednię o „aryjczykach" i „niearyjczykach" powtarzają i sami Żydzi, nie zdając sobie często sprawy, że byli ofiarą nie tylko potwornej zbrodni, ale i równie potwornej mistyfikacji.

JAN ROJEWSKI

Siedem dni

...„Tylko wrogowie Polski pewni, że rozlana krew bratnia w każdym narodzie prowadzi do zemsty, rozkładu i pociąga za sobą skutki na pokolenia, mogą sobie życzyć w Polsce atmosfery mordów politycznych i wojny domowej, która by się mogła skończyć utratą niepodległości państwa. Zdajemy sobie sprawę, że istnieją jeszcze inspirowane bandy NSZ – agenci Andersa... potępiamy NSZ, agentów Andersa maruderów i pospolitych zbrodniarzy... mówimy, chociaż to jest niepopularne... że muszą być jak najszybciej oddane świadczenia rzeczowe, że musi być uregulowany nasz system gospodarczo-aprowizacyjny, o którego stworzenie nam chodzi, żeby robotnik miał chleb, żeby ten, co nie ma czym zasiać, miał zboże. Myśmy stale byli zwolennikami porozumienia polsko-sowieckiego i weszliśmy na drogę współpracy... bez względu na to czy się to podoba, czy to się nie podoba... Cała nasza przyszłość, nasza niepodległość leży na drodze ułożenia stosunków i przyjaźni polsko-sowieckiej (oklaski). – Jestem pewny, że co najmniej połowa zwolenników PSL przypisze te słowa wicepremierowi Gomułce. Wypowiedział je wicepremier Mikołajczyk z trybuny sali „Roma". Roma locuta... zdawałoby się, że nie ma podstaw wątpić w szczerość tych wypowiedzi. A jednak od pierwszej chwili wątpią w to... zwolennicy PSL, zrzeszeni i niezrzeszeni. Nieuświadomieni politycznie chłopi, mieszczańska półinteligencja i kołtuneria, rozparcelowani ziemianie, upaństwowieni fabrykanci i wojenni dorobkiewicze wszelkich maści, nie forsujący bloku, a blokujący forsę w raz po raz otwieranych przez organy bezpieczeństwa walizach z milionami. Wyżej wymienieni wierzą w innego Mikołajczyka, o programie skrajnie różnym od programu, który zacytowałem. Nastąpiło rozdwojenie Mikołajczyka. Jeden ten występuje w sali „Roma", drugi – w umysłach lwiej części zwolenników PSL. Dr Jekyll i mr. Hyde.

Rozmawiałem ze zwolennikami PSL. Na wsi i w mieście. Rozmawiałem z chłopami przechodzącymi z SL-u do PSL-u. Nieuświadomiony politycznie chłop jest przeciwnikiem dwóch zasadniczych punktów programu SL-u. Konieczności zdawania świadczeń rzeczowych i prosowieckiej orientacji politycznej. I jeden i drugi punkt jest podstawą programu Mikołajczyka z „Romy", ale taki chłop wierzy w Mikołajczyka-Hyde'a. Wierzy, że Mikołajczyk-Hyde obroni go przed robotnikiem, czekającym w ogonku na chleb kartkowy i usunie w oparciu o „cudy nad Wisłą" Rosjan nie tylko z Polski, ale nawet z Berlina i... Kijowa. Nie umie pokazać palcem Kijowa na mapie, ale zna legendę o „Szczerbcu"; wie, że w Kijowie odznaczył się Bolesław Chrobry i Edward Śmigły. – Czego oczekują po Mikołajczyku-Hyde rozparcelowani ziemianie? Tego, co zawsze po nim oczekiwał wojewoda poznański Adolf hrabia Bniński. Postępowej myśli politycznej (sojusz z Rosją) i wstecznej myśli społecznej (łagodna reforma rolna). Mieszczańska półinteligencja widzi w Mikołajczyku-Hyde kontynuatora polskiego romantyzmu dziejowego... „z ziemi włoskiej do Polski", upaństwowieni fabrykanci oczekują podniesienia liczby robotników w prywatnym przemyśle początkowo do... stu, a wojenni dorobkiewicze – swobody obracania zrabowanym mieniem. – Oto obraz Mikołajczyka-Hyde'a, malowany tęsknotą lwiej części zwolenników PSL.

Na Mikołajczyka-Hyde'a stawia poza tym NSZ. Obciętny jest dla nich program Mikołajczyka. Oni będą głosowali na każdego rozbijacza jedności, bez względu na jego przynależność partyjną. Bezpartyjny Blok Współdziałania Rozbiciu. Ostatecznym celem tych wyborców nie jest już nawet Mikołajczyk-Hyde, lecz Polska-Hyde Park. Polska faszystowsko-kapitalistyczna, w której jak w londyńskim Hyde-Parku wolno będzie pod opieką chłopców z Gołędzinowa wołać w najlepszym wypadku o Polskę ludową, o Polskę robotniczą. Te wołania odniosą identyczny skutek jak te, które dochodzą z Hyde Parku w Londynie.

Do Mikołajczyka garną się obłudnicy rozmaitych odmian i maści. Przemawiają językiem ewangelii: „Panie, Panie, azaż-śmy w imię twoje nie prorokowali i w imię twe czartów nie wyganiali i w imię twe wiele cudów nie czynili? (Mat. 7.22). Szkoda, że Mikołajczyk nie odpowiada tym samym językiem: „A wtedy wyznam im: Żem was nigdy nie znał: odstąpcie ode mnie, którzy nieprawość czynicie" (Mat. 4.23). Mikołajczyk tego nie mówi. Rozumiem. Nie można żądać, by nawet najbardziej chrześcijański polityk postępował jak Chrystus, ale można i trzeba żądać, żeby Mikołajczyk-ludowiec syn chłopski, nie inkasował głosów „nieprawość czyniących" i nie żądał powołując się na nich 75% mandatów w sejmie.

LUDWIK SELEN

Marksizm, faszyzm i pani Malewska

W dniu 14 marca br. przypada 63 rocznica śmierci Karola Marksa.

Niejeden tron się zawalił pod naporem ludu natchnionego ideami Karola Marksa.

Pod szyldzik marksizmu starają się różnego rodzaju świadomi i nieświadomi wielbiciele ginących porządków społecznych przemycić „idee", które z marksizmem nic wspólnego nie mają. Dzielę tu „krytyków" Marksa na świadomych i nieświadomych. Trywialnie biorąc zaliczam do świadomych tych, co wiedzą o czym mówią, którzy mają conajmniej odwagę przeczytać podstawowe prace Marksa. Z tymi można przynajmniej poważnie dyskutować.

Drugi rodzaj „krytyków" należy do tych, którzy krytykują jako marksizm poglądy nic wspólnego z marksizmem nie mające.

Na łamach katolickiego „Tygodnika Powszechnego", ukazał się artykuł pióra p. Hanny Malewskiej pod tytułem „Ewolucja marksizmu".

Jak można obok artykułu ks. Jana Salamuchy, umieszczać artykuł nieświadomej p. Malewskiej to już zostawimy ocenie poważniejszych czytelników „Tygodnika Powszechnego".

Autorka na wstępie stwierdza autorytatywnie, że: „Partie socjalistyczne na Zachodzie wyraźnie są dziś odgrodzone od komunistycznych, nie tylko organizacyjnie ale i ideowo". A nam się wydaje, że jest akurat na odwrót. Właśnie po doświadczeniach ostatnich lat, po przejściowej klęsce ruchu robotniczego, która nastąpiła w rezultacie jego rozbicia i odejścia jednego odłamu od ideologii marksowskiej, wyraźnie zarysowuje się coraz bliższa współpraca wśród najpotężniejszych partii socjalistycznych i komunistycznych Zachodu Europy. Tak mamy we Włoszech, Niemczech, Austrii a wreszcie we Francji. We Włoszech i we Francji ta współpraca rozwija się niezmiernie korzystnie i już obecnie dzięki niej najbardziej reakcyjne grupy, które stały u władzy zostały zmienione przez rządy, w których decyduje wspólna wola tch partii: socjalistycznej i komunistycznej.

Nie odpowiada więc rzeczywistości twierdzenie, że dwa odłamy robotniczego ludu oddalają się od siebie, gdyż przeciwnie, na porządku dnia stoi ich organiczne zjednoczenie się.

Ale jak jest z ideologią? Czy ideologicznie istnieje rozbicie? Było — co prawda. Ale wszystko przemawia za tym, że właśnie na skutek pozytywnych rezultatów, współpracy i gorzkich doświadczeń przeszłości, daleko sięgnął i nawrót do marksizmu wśród tego skrzydła, które przed wojną odeszło od niego. By to stwierdzić wystarczy przejrzeć po prostu dzienniki francuskiej partii socjalistycznej. Na jakiej więc podstawie twierdzi p. Malewska, że „Ewolucja marksizmu przybrała formę krytyki marksizmu". Okazuje się na tej podstawie, że były „socjalista" belgijski Henryk de Man wydał w roku 1936 „głośne" dzieło p. t. „Psychologia socjalizmu". Myślę, że gdyby p. Malewska znała „ewolucje" de Mana, to by się na niego nie powoływała, ale o tym — potem.

Otóż de Man wysunięty jest na znawcę i naukowego krytyka marksizmu. Powołując się na de Mana i swe własne wnioski z tej „naukowej" lektury autorka przypisuje Marksowi takie rzeczy, że gdyby to do niego dotarło, to by chyba stary teoretyk w grobie się przewrócił.

Przypisuje więc Marksowi „mechanistyczne stosowanie zasady przyczynowości w dziejach", przypisuje, że przedstawiał „instynkt nabywania jako motyw determinujący historię", przypisuje wreszcie, że „Idealny robotnik kapitalistyczny Taylora i idealny robotnik socjalistyczny Marksa, to jedna i ta sama osoba: wyjałowiony automat, wolny od „filisterskiego przywiązania do rzeczy i do warsztatu".

I to ma być marksizm. Naturalnie, że każdy jako tako uczciwy czytelnik dzieł Marksa powie: nieprawda — to paszkwil na marksizm.

Po przeczytaniu artykułu p. Malewskiej, sądzę, że nie omylę się jeśli stwierdzę dwie rzeczy: 1. autorka nic w ogóle z dzieł Marksa nie czytała, 2. została wprowadzona w błąd przez de Mana, który Marksa czytał i świadomie fałszuje jego myśli. Nie wolno bowiem krytykować kogoś nie przeczytawszy jego własnych wywodów.

Autorka przedstawia ewolucje marksizmu w ten sposób, że przerodziła się ona w krytykę marksizmu, którego ucieleśnieniem jest znowu tenże de Man.

Naturalnie, że i w tym wypadku jest to nieświadomość, graniczącą z ignorancją naukową.

Ewolucja marksizmu poszła w kierunku dalszego rozwijania ideologii marksowskiej stosownie do postępującego naprzód rozwoju społeczeństwa, jego gospodarki, kultury materialnej i duchowej.

Marks żył w epoce kapitalizmu przedmonopolistycznego, nie omówił więc w swych pracach imperializmu, choć dał niektóre genialne przewidywania dotyczące tej fazy kapitalizmu. Po współczesnym Marksowi Fryderyku Engelsie, współtwórcy marksizmu, rozwijał dalej ich teorię Lenin. Rozwinął on teoretycznie naukę Marksa w zastosowaniu do nowych form życia gospodarczego, scharakteryzował monopolistyczny etap rozwoju kapitalizmu, rozwinął naukę o formie dyktatury proletariatu i był o tyle w szczęśliwszej sytuacji niż Marks, że jak sam to stwierdzał, miał możność nie tylko pisać o rewolucji socjalistycznej, ale brać praktyczny udział w jej przeprowadzeniu.

Dzieło to dalej kontynuuje współczesny nam Józef Stalin.

Niezależnie jednak od tych klasyków marksizmu istnieje cały szereg uczonych teoretyków w różnych gałęziach wiedzy, którzy rozwijają dalej genialne myśli Marksa.

Z polskich kontynuatorów Marksa wymienić należy jako bodaj pierwszego — Ludwika Krzywickiego. Dorobek tego wielkiego uczonego w pierwszej fazie jego działalności zawiera niezwykle cenne studia marksistowskie, które trzeba będzie jak najprędzej udostępnić ogółowi polskiemu.

Ewolucja marksizmu bynajmniej nie idzie w kierunku scholastycznej wykładni tez Marksa, jakby chcieli niektórzy „krytycy", pragnący ciągnąć za włosy rzeczywistość, aby nagiąć ją do swej tezy o „doktrynerstwie" maksizmu.

P. Malewska rozprawiwszy się przy pomocy de Mana z kilkoma fantasmagoriami, które podaje za marksizm, głosi peany na cześć tego „krytyka" marksizmu, który w wyżej wymienionym elaboracie „Psychologia socjalizmu" opisuje jak on rozumie drogę do socjalizmu i sam socjalizm.

Nie dziwota, de Man podoba się bardzo p. Malewskiej, albowiem jego poglądy są rażąco podobne, jak o tym sama mówi, do poglądów katolickich ideologów Karola Peguy, Maritain'a, ba nawet św. Tomasza z Akwinu.

A jakie są te ideały? Nie chcę być złośliwym, ale autorka nasza jest tak rozbrajająco szczera, że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia cytatu z jej rozumowania, chociaż to naszego tematu bezpośrednio nie dotyczy.

Ideałem, jak się okazuje, było średniowiecze. Dosłownie pisze: „Ubóstwo dla rzemieślnika pracowitego i dumnego ze swej pracy nie było nieszczęściem. Ale oto przyszedł kapitalizm i pewnego dnia „nawet bieda zdradziła ubogich" — znikł spokojny i dumnie znoszony niedostatek, a zastąpiła go niepewność jutra i nieznośna nędza".

Oto o co chodzi — dobrze było w czasach gdy istniał „spokojny i dumnie znoszony niedostatek".

I de Man i ideologowie chrześcijańscy i p. Malewska wzdychają do tych czasów. Można tylko zapytać, czy nie widzą oni nic o Żakierii, o powstaniu Wata Taylora, o wojnach husyckich, o wojnie chłopskiej w Niemczech, o rządach Savonaroli i ciągłych buntach czeladników miejskich.

De Man jest tym dobrym duchem, który zwiastuje socjalizm bez marksizmu, socjalizm taki jakim było życie w średniowieczu. Czyż był jeszcze jaki inny wielki socjalista w Europie, który chciał wprowadzić to samo? Owszem, był. Adolf Hitler — ten też walczył z marksizmem i wzywał do nawrotu do średniowiecza.

I czyż wobec tego dziwnym będzie, że na pewnym etapie, ci dwaj „socjaliści" spotkali się i poszli zgodnie jedną drogą — naturalnie z zachowaniem średniowiecznej hierarchii. Adolf — jako pan lenny, Henryk — jako lennik. Nie jest to bajeczka, ale rzeczywistość. De Man stał się kolaboracjonista — sługusem niemieckiego faszyzmu w okupowanej ojczyźnie belgijskiej.

Nieświadoma p. Malewska niewątpliwie będzie tym stwierdzeniem przerażona i zdumiona, ale my skromni marksiści bynajmniej. Albowiem de Man pisał: „Nie istnieją żadne nieuniknione prawa determinujące t. j. będące przyczyną naszych czynów, istnieją tylko fakty warunkujące t. j. ograniczające te czyny". Kto tak teoretyzuje mówiąc o przyczynach ruchów społecznych, dla tego w praktyce, socjalizm i hitleryzm może stanowić jedność i dlatego też de Man znalazł się w jednym obozie z Hitlerem.

Dla p. Malewskiej może to i nieoczekiwane, ale dla nas marksistów ta ewolucja de Mana jest zupełnie zrozumiała.

I dlatego de Man siedzi teraz w więzieniu w katolickiej Belgii, a my z jego wynurzeń i działalności możemy wysnuć pewne pouczające wnioski.

Dlatego droga, nieświadoma autorko nasza, trzeba ostrożnie podchodzić do krytyki marksizmu, a w każdym razie jeśli o nim chce się pisać, trzeba naprzód poczytać.

Korespondencja

Do redaktora „Kuźnicy"

W związku z obszerną i wyczerpującą rozprawą Jana Kotta o „dziecięcej" twórczości Jana Brzechwy zamieszczoną w poprzednim numerze „Kuźnicy" pragnę wyjaśnić, że nie solidaryzuję się z opinią krokodyla, wieloryba, Lucyny Krzemienieckiej, kangura, Bolesława Piaseckiego, muchomora i innych o wierszach dla dzieci Jana Brzechwy. Wiersze Brzechwy dla dzieci bardzo mi się podobają. Czekam na wiersz Brzechwy o Kocie w „Kuźnicy".

11.III.46 r.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Do redaktora „Kuźnicy"

Dwukrotnie na łamach „Kuźnicy" poruszono sprawę wstępu historycznego, zamieszczonego przed nowelą moją pt. „Bitwa na równinie Sedmoor" w pierwszym numerze „Twórczości" z r.b., przy czym mnie przypisano jego autorstwo. Pragnę stwierdzić, iż wstęp ten został zamieszczony z inicjatywy redakcji „Twórczości" i nie był napisany przeze mnie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Jarosław Iwaszkiewicz

Stawisko 6. marca 1946.

Nowe książki

Stanisław Ehrlich. Strategia zwycięstwa. Łódź, „Czytelnik", 1945, str. 48.

W broszurze, opartej na fachowych materiałach wojskowych, przeprowadza autor interesujące porównanie pomiędzy strategią radziecką a niemiecką, wykazując udokumentowaną zwycięstwem wyższość tej pierwszej.

Wbrew ostrzegawczym opiniom Bismarcka („Wszystko, tylko nie wojna z Rosją") i Moltkego („Wystrzegajcie się bezgranicznych przestrzeni rosyjskich, lękajcie się siły oporu Rosji"), Hitler zaryzykował wyprawę na ZSRR, popełniając grzech właściwy nowszej strategii niemieckiej, polegający na przecenianiu sił własnych i niedocenianiu sił przeciwnika. Hitler nie zdawał sobie sprawy ze spoistości państwa radzieckiego, jego potencjału gospodarczego i wartości bojowej Armii Czerwonej. Dał się uwieść głosom niemieckich i zagranicznych „ekspertów", którzy twierdzili, że zwycięska dla Niemców wojna z Rosją potrwa „od trzech tygodni do trzech miesięcy".

Mimo olśniewających, na początku kampanii sukcesów niemieckich, wojna z Rosją trwała prawie cztery lata i zakończyła się zupełnym pogromem hitleryzmu. Elementy radzieckiego zwycięstwa, ze szczególnym uwzględnieniem przełomowej bitwy stalingradzkiej, analizuje starannie autor rozprawy, omawiając kolejno liczbową i techniczną przewagę broni sowieckiej, gospodarczą zasobność ZSRR, sprawność kolejnictwa, zdolności organizacyjne kierowników aparatu wojennego, wreszcie niezwykłe walory radzieckiego żołnierza i dowódcy, zrywającego śmiało więzy rutynizmu.

Żywo napisana broszura daje możność pogłębienia nie zawsze pełnych i dostatecznych wiadomości o przebiegu kampanii niemiecko-radzieckiej. Zamiast luźnych fragmentów i urywków o charakterze bieżącej kroniki bojowej znajdziemy tu bardzo pożyteczną próbę syntezy walk na froncie wschodnim w okresie roku 1941 – 1945.

bd

O czasopismach i pośrednikach kultury

Książek mamy nie wiele to prawda, ale za to w Polsce wychodzi obecnie przeszło 350 pism, z czego więcej niż 300 periodyków.

Szczególna sytuacja, w jakiej obecnie znajduje się produkcja słowa drukowanego, nie zawsze spotyka się z odpowiednim zrozumieniem u tych, których zadaniem jest dbać o należyte funkcjonowanie pośrednictwa i kolportażu. A od tego wszystko przecie zależy. Słowo drukowane spełnia bowiem swą rolę dopiero wtedy, gdy dociera do czytelnika. W przeciwnym razie jest martwe.

Jak wiadomo, większość czasopism jest wydawana i kolportowana przez spółdzielnię „Czytelnik". Należałoby oczekiwać, że periodyki, które w dużej mierze wypełniają brak książki, będą traktowane tak, jak na to w związku z tą swoją rolą zasługują. A tymczasem jest zgoła inaczej. Traktuje się je dużo gorzej, niż to było nawet przed wojną. Oto znamienny przykład: „Kuźnica" wypuściła na gwiazdkę numer poświęcony Mickiewiczowi. Że Mickiewicz od przeszło stu lat schodzi zawsze pod strzechy — nic dziwnego w tym nie ma. Wszystkim poza tym wiadomo, że upowszechnienie kultury, to prąd tak żywiołowy, że w normalne urzędowe i w 100 proc. legalne ramy nie sposób go zamknąć. Wobec tego mickiewiczowski numer „Kuźnicy" „upowszechnia się" po drodze i abonentowi dekompletuje się całość. Jakiś czas trzeba odczekać — a nuż jeszcze nadejdzie. Nie nadchodzi — rzecz jasna — więc trzeba specjalnie numer kupować i... tu się rozpoczyna tragedia.

Za żadne skarby nie dostaniesz w Warszawie numeru z ubiegłego tygodnia. Księgarnia i kioski odsyłają do „Czytelnika": „Tam w centrali dadzą wam napewno". — Człowiek klnie w żywy kamień, bo już z pietnaście kilometrów łażenia ma w nogach, a tu jeszcze leć na Poznańską. Grzecznie cie tam obsłużą — ale numeru nie dadzą: „Odesłaliśmy już do wydziału zwrotów — niech Pan idzie na Wiejską (suteryna, pierwsze schodki na lewo), może Pan tam dostanie".

Sortownia wydziału zwrotów przedstawia niesamowity widok: olbrzymie zwały pospinanych drutem czasopism — trudno się nawet przecisnąć. I znów uprzejma informacja — czyjaś—tam: „Redakcje — prosze Pana — żądają, żeby nierozsprzedane numery natychmiast zwracać. Wczoraj odszedł samochód do Łodzi".

Nieprawda! — panowie z „Czytelnika". Pojechałem specjalnie do Łodzi i rzecz sprawdziłem na miejscu. Redakcje żądają, żeby pismo kolportować, a nie żeby pośpiesznie je zwracać! Trzydzieści procent nakładu nie rozchodzi się i zalega składy, a wy traktujecie czasopisma tak jak gazety, które tracą aktualność natychmiast po ukazaniu się najbliższego numeru. Gdybyż jeszcze było to tylko i wyłącznie czasopisma. Ale przecież zrozumcie, że tego rodzaju periodyki zastępują dziś książki, których wy za dużo nie wydaliście jak dotąd — nieprawdaż? Nie darmo rozlegają się żądania pod adresem Redakcji, żeby do artykułów opracowywana była bibliografia.

Tylko, że wy o tym nie wiecie. Wiadomo — pośrednicy kultury! Wątpię czy i ten mój głos do Was dotrzeć potrafi.

buk

Odpowiedzi Redakcji

M. Rym. Poznań. Dziękujemy. Nie możemy umieścić, gdyż forma wiersza, anachroniczna, dziś już bez wyrazu.

T. K. Warszawa. Cieszymy się z powrotu każdego rodaka do kraju. Wiersze słabe.

Dyrekcja Odbudowy Warsz. Węzła Kol. Nie do druku.

J. Gadz. Białogród na Pomorzu. Doceniamy waszą pracę i dobrą wolę, niestety, poemat nie do druku.

J. Sp. Łódź. O sprawie poruszanej przez was w nadesłanym artykuliku, pisał obszernie Stefan Żółkiewski. Wiersz o Łodzi — publicystyka rymowana.

L. Z. Kraków. Satyra patetyczna, którą uprawiacie, jest trudnym rodzajem. Rezultaty na razie połowiczne.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK"

W RAMACH SERII
—BIBLIOTEKA SPOŁECZNO-POLITYCZNA—

ukazało się nowe wydawnictwo

Jerzy Kirchmayer — Geneza Powstania Warszawskiego
cena zł. 20

Dotychczas z serii tej ukazały się:

Ehrlich S. — Strategia zwycięstwa . . . . . cena zł. 12.—
Grosz W. — Na drogach powrotu . . . . . „ „ 15.—
Horak A. — Wojna polsko-niemiecka . . . . „ „ 12.—
Litauer S. — Zmierzch „Londynu" . . . . . „ „ 15.—
Oranowski Z. — W oczach Londynu . . . . „ „ 10.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Rozmaitości

Rymy, rymy

Zaproszony do zabrania głosu w sprawie rymotwórstwa, poruszonej przez Przybosia, wzdragałem się bardzo, temat i obszerny i całkiem specjalny musiałby zejść na rozstrząsania gramatyczne, fonetyczne i jeszcze inne, nadawałby się raczej do ściśle literackiego miesięcznika. „Serce w rozterce" wywołało oddźwięk i asonans rozmaity, tymczasem praktyka dzisiejsza ukazuje inną, bardziej kłopotliwą rozterkę. Kto tak dzisiaj rymuje? Poczytajcie poezję pseudoludową, prasę młodzieżową, hasła propagandowe, poezję ruchu spółdzielczego i konkursowego, wszędzie panoszą się niedorymy, aż uszy więdną. Ta praktyka nie odpowiada wcale wyczuleniu ucha, pochodzi po prostu z obniżenia wymagań. Chciałoby się zawołać — nauczcie tych ludzi przynajmniej rymować, nie będą pisali lepiej, ale może mniej. Co gorzej, tak asonansują nie tylko grafomani, zatrata poczucia rymu i asonansu grozi naszej kulturze poetyckiej, pod pozorem swobody rymotwórczej od wielu lat już przemyca się gramatyczne rozdźwięki. Rozmawiałem z młodym poetą:

— Zielone i zdziwiony? Wystarczy zmienić rodzajnik, a wyjdzie banalny rym.

— Nie, odpowiedział, idzie przecież o to, aby odświeżyć rym, udziwnić.

Wolę już zwykłe zielone, zerwane z drzewka banalnego rymostanu, niż odświeżane wodą z tego strumienia podejrzanej czystości. Za tanim kosztem odświeża się i udziwnia...

Czy mam rację? Obawiam się, że tylko względną. W jakimś wierszu jambicznym i bardzo dynamicznym mogą ujść nawet i takie niedorymy, przymiotniki o zmienionych końcówkach. Obok związku z rytmem i inną charakterystyką zewnętrznej formuły, którą podawał niedawno Jastrun, postać rymu wiąże się z całym podłożem języka i rozwojem form literackich, a tego nie można sprowadzić do oderwanych rozważań o wrażliwości ucha na bliższą czy dalszą spółdźwięczność. Eugenia Kocwa w „Tygodniku Powszechnym" odpowiadając na uwagi Przybosia, zgodziła się bez zastrzeżeń, że powinniśmy unikać rymów banalnych. Umówmy się przedtem co będziemy nazywali rymami banalnymi, czy rymy łatwo rozpoznawalne (ocenię — sumienie, milczenie i cienie...) czy właśnie takie końcówki, którymi przywołują się nieliczne słowa w naszym języku. Niektóre z nich zrosły się w uprzykrzone pary, okliwi narzeczeni za często przesyłali sobie pocałunki z okienek parteru i trzeciego piętra strofki. Serce w rozterce śmieszy nas albo razi. To samo serce zaczyna nieco mocniej bić, kiedy poczuje w pobliżu mordercę. Rymy bardzo ograne są flagami sygnalizacyjnymi ze statku, który płynie po obrzydłych nam nurtach uczuciowych. Chociaż każdy cmentarz natychmiast wyrzut — czy pamiętasz? — to przecież ta smutna para rymowa nie razi nas tak, jak ciąg wzruszeniowy słów: serce, rozterce, kobierce, poniewierce, iskierce...

Otóż to są rymy ograne. Miejmy o nie pretensje do dawnych upodobań wzruszeniowych, które przestały nam dogadzać jeszcze ćwierć wieku temu. Nie ucho się znudziło, ale obmierzł nam ten gatunek liryki. A rymy banalne to zupełnie co innego, banalnie rymują się formy czasownikowe, przymiotnikowe, gerundia, słowem najczęściej spotykane w języku końcówki. Gdzieś kiedyś na pewno wyrymowano je wszystkie. Co z tego? Nie to je nam charakteryzuje, tylko fakt, że łatwo je nanizać. Jesteśmy tak wyćwiczeni w sztuce chwytania związków dźwiękowych, że grają w nas jak katarynka. Albo raczej grać przestały, zniknęły z naszego wewnętrznego horyzontu. Kochanowski nie był tak wyćwiczony. Kiedyś, o kilka tysięcy kilometrów od kraju, myśląc o białej brzozie, myślałem i o lipie czarnoleskiej i pozwoliłem sobie na rym czasownikowy w dystychu, z którego jestem dumny. To tylko przykład krańcowy, zwykle wraca się do banalnego rymu nie dla jednorazowego efektu, ale w ogólniejszej tendencji, uwzględniając właśnie zmianę wrażliwości ucha w stosunku do dawnego rymostanu. Mówiąc z pewną przesadą, piszący musi przecież uwzględniać wszystko co było przed nim napisane, dzisiejszy poeta ma większy stożek doświadczenia, niż wczorajszy, w tej perspektywie mieści się również wymowa rymów banalnych.

„Słucha co Rymwid o Niemcach powiada,
Ale mu na to nic nie odpowiada".

W czasach Mickiewicza rym czasownikowy był jeszcze w powszechnym użyciu, ale Mickiewicz — o zgrozo!—dopuścił się rymu o jednorodnym źródłosłowie i podręcznik stylistyki przytacza to jako przykład niedbalstwa. Nigdy nie wierzyłem podręcznikowi, wiedziałem na pewno, że to lapsus umyślny, uzasadniony treściowo i formalnie w kontekście innych, przyzwoitych rymów. Stary Rymwid powiada o Niemcach rzeczy tak powszechnie na Litwie uznane, że powinny wywołać odpowiedź w tym samym duchu i tonie, bodajże w tych samych słowach najbardziej jednorodny, najbanalniejszy oddźwięk. Przedziwnie truistyczny rym akcentuje tym silniej, jak dalece książę zawodzi oczekiwanie Rymwida. Takie środki udają się raz na sto lat? Zgoda. Takie środki były dobre sto lat temu? Zgoda. Dzisiaj powinniśmy traktować strukturę rymu absolutnie a nie relatywnie? Za pozwoleniem, nie widzę żadnych powodów żeby się na to zgodzić. Po prostu nie godzę się na taką estetykę. Bo decydują tu szersze pretensje estetyczne, a nie jakby się zdawało, reguła słuchu.

Asonans wtargnął do poezji współczesnej nie dlatego, że ucho znużyło się rymami. Kto by tak sądził, musiałby w konsekwencji uznać, że zmiany prądów literackich wynikają także ze znudzenia dawnymi formami, a tymczasem rodzą się one z poważniejszych przyczyn.

O ile mi wiadomo, asonans współczesny zjawił się we Francji w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku w praktyce symbolistów obok rymu fonetycznego wraz z tryumfami rytmiki wolnego wiersza, po starganiu klasycznych kanonów rymograficznego. Nie szło o to, że rym był ograny ale szło o zmniejszenie jego roli przewodnika w wierszu, o rozluźnienie więzów zewnętrznych. Wzorów dostarczała poezja ludowa, piosenka przedmieścia, nieuznająca rygorów poezji oficjalnej. Korzystano z tych wzorów na modłę secesyjną i asonans, który w materiale języka francuskiego jest czymś bardziej wyszukanym, niż rym fonetyczny, a słuchowo czymś bardzo wątpliwym, przybierał rzeczywiście kształt secesyjnego wykrętasa. Do naszej poezji asonans wtargnął po pierwszej wojnie za przykładem rosyjskim w lawinie nowego materiału językowego, który by nie mógł się pomieścić w karbach tradycyjnego rymu. Szczególne trudności rymowania sprzyjały w naszej poezji zmartwiałym formom składniowym, przebrzmiałemu słownictwu, sztucznie ubitym i ograniczonym zasobom języka. Asonans wyważył drzwi, napuścił świeżego powietrza. Okazało się, że polszczyzna wytwarza ogromne bogactwo typów asonansowych i chociaż od tego czasu minęło ćwierć wieku, jak dotąd nikt nie próbował ich usystematyzować, nakreślić granic fonetycznych asonansu, nikt nie zaproponował odróżnienia asonansu poprawnego od niepoprawnego w związku z możliwościami fleksyjnymi form gramatycznych.

I stąd ta najbardziej niepokojąca rozterka.

ADAM WAŻYK

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE
PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO
REJONU ŁÓDZKO-KIELECKIEGO

POLECA

znane z jakości i dobroci piwa Państwowych Browarów w Łodzi, Częstochowie, Jędrzejowie-Kieleckim, Sieradzu, Tomaszowie-Maz., Wieluniu i Zduńskiej Woli. — W najbliższych dniach ukaże się na rynkach ciemne piwo słodowe wybornej jakości, na cukrze.

IRMA KANFER

Wędrówka po teatrach paryskich

Teatr „Vieux Colombier" znajduje się w nobliwej, mieszczańskiej, w cieniu brzydkiego kościoła St. Sulpice mieszczącej się dzielnicy. Domy wydają się tu pokryte patyną, pobożne staruszki w długich, czarnych sukniach i kapeluszach anno 1900 snują się po spokojnych uliczkach, drzewa luksemburskiego ogrodu poza lekką świetlistością paryskiego plain — aire'u mają w sobie coś kojącego. Nawet auta suną tu ciszej i wolniej; dudni wprawdzie pod ziemią metro, ale jest niewidzialne i nie zakłóca harmonii.

Tu najlepiej przemóc w sobie sześć lat wojny i uwierzyć, że istnieją rzeczy do których groza nie ma dostępu.

W takim to kąciku usadowił się teatrzyk „Vieux Colombier", skromnie, dyskretnie, w małej salce, gdzie scena jest przedłużeniem widowni, wyrasta z niej. I jakby przez kontrast z dzielnicą teatrzyk „Vieux Colombier" jest niesłychanie współczesny, śmiały w swych koncepcjach scenicznych. W gruncie rzeczy nic w tym dziwnego. Czyż Anglia, kraj purytanów i zielonych zaciszy à la hrabstwo Kent nie produkuje poważnej ilości ekscentrycznych oryginałów, którzy są uosobieniem słowa shocking?

Repertuar „Vieux Colombier" jest poważny, wysiłek artystyczny rzetelny. Jeśli się eksperymentuje, to w celu wydobycia czegoś rdzennego, bez taniej pogoni za oryginalnością za wszelką cenę.

Paryż powojenny jest jeszcze w większym stopniu miastem kontrastów, niż sześć lat temu: z jednej strony kolosalny popyt na taniznę, rozrywki hałaśliwe a ziejące pustką, z drugiej zrozumienie dla umysłów nie upraszczających poruszanych przez nie zagadnień.

Od kilku miesięcy teatr „Vieux Colombier" wystawia sztukę angielskiego pisarza Eliot pod tytułem „Mord w katedrze". Jest to dramat historyczny, osnuty na tle wypadku jaki miał miejsce w katedrze Canterbury w roku 1170, kiedy to na rozkaz króla Henryka II-go Plantageneta czterej rycerze dokonali mordu w kościele na osobie Tomasza Becketa, arcybiskupa.

Akcja jest raczej skąpa. Jeśli sztuka wzbudza zainteresowanie, to ze względu na oryginalną koncepcję autora. Nie znam całokształ tu twórczości dramatycznej Eliota. „Mord w katedrze" zdradza jednakowoż dramaturga, obeznanego z techniką teatralną. Eliot w szczęśliwy sposób kojarzy najstarsze, klasyczne formy teatru z nowymi. I tak, podobnie jak w klasycznych tragediach występuje w sztuce Eliota chór kobiet, wyrażający trwogę, nadzieję i obawy szarej ludności, obserwującej z lękiem narastanie konfliktu między królem a biskupem, w którym dopatruje się ona naturalnego opiekuna i obrońcy. Mamy też szereg scen o koncepcji współczesnej jak n.p. scena kazania wigilijnego, gdy poprzez usta współczesnego duchownego dowiadujemy się o oddźwięku jaki wypadek w Canterbury znalazł w przyszłości. Mordercy unicestwili powłokę cielesną arcybiskupa, lecz równocześ nie zapewnili mu triumf wieczny, pośmiertny.

Nie prostą drogą zdążał Becket ku palmie męczeńskiej. Eliot ukazuje nam arcybiskupa Canterbury w momencie dlań krytycznym. Indywidualność Becketa była jednak zbyt silnie zarysowana, by nie wzbudzić niechęci dworzan i rywalizujących dostojników. Becket popada w niełaskę i musi opuścić Anglię.

Eliot ukazuje nam go w chwili powrotu do Anglii. Król wzywa mądrego, zdolnego, arcybiskupa, gdyż sądzi, że po przywróceniu go do łaski, potrafi go użyć przeciw klerowi. Lud w Canterbury wita duszpasterza z radością widząc w nim opiekuna i pośrednika między niebem a ziemią.

Autor ukazuje nam konflikt w duszy biskupa — między istotną, uczciwą potrzebą obrony niezawisłości duchowej, a chytrą, skrytą chetką unieśmiertelnienia się w męczeństwie. Pokora jako wyraz piekielnej dumy, odrzucenie wzgardliwe władz i zaszczytów ziemskich w cichej nadziei, że aureola męczeńska zapewni sławę i trwalszą i głębszą, bo pośmiertną i karmioną z roku na rok wiarą i podziwem wiernych.

Dramat Eliota mimo jednolitości akcji surowej i skąpej, mimo historycznego tła jest bliski współczesnemu człowiekowi. Bohaterowie Eliota, to ludzie o psychice złożonej, nierównej. I tak ambitny, rozdarty wewnętrznie Becket zdobywa się na akcenty prawdziwej wielkości w scenie mordu. Czterej mordercy, którym autor w nader oryginalnej scenie pozwala się wypowiedzieć wobec potomności i historii, zdradzają akcenty ludzkie, przytacza ją na obronę swego czynu argumenty przemyślane i niepozbawione pewnej słuszności. Jest to scena niesłychanie sugestywna, gdyż dzięki montażowi reżyserskiemu aktorzy zwracają się do publiczności, a nieomal że nieistniejący przedział między widownią a sceną nadaje dramatowi posmak aktualności. Zresztą, widzowi współczesnemu problematyka mordów politycznych nie jest bynajmniej obca.

Entuzjazm ekipy „Vieux Colombier" jest godny pochwały. Szkoda, że ni inscenizacja, ni gra aktorów nie odpowiada poziomowi utworu Eliota. Reżyser i odtwórca głównej roli, p. Jean Vilar zatrzymał się w połowie drogi. „Mord w Katedrze" posiada możliwości wizualne, plastyczne oraz psychologiczne. Reżyser winien więc dać pierwszeństwo jednemu z tych pierwiastków. Należało nadać „mordowi w katedrze" rozmach wielkich widowisk, uruchomić wszystkie dostępne środki techniczne lub pójść całkowicie po drodze pogłębienia psychologicznego.

Dekoracje teatru „Vieux Colombier", sposób operowania światłem wywołują pewien dysonans, zresztą, przyznać należy, iż trudno o realizowanie potężnych widowisk na tak ograniczonej przestrzeni.

*

— Znowu tyrania — westchnie krytyk, wychodząc z teatru Hebertot, który od dłuższego czasu (w Paryżu nie ma obecnie efemeryd w świecie scenicznym, każda nieomal sztuka poszczycić się może co najmniej setką przedstawień) gra dramat jednego z najwybitniejszych pisarzy młodszej generacji Alberta Camuza.

„Kaligula" a więc absolutna tyrania obłąkańca, upodlenie tchórzliwych, lecz zawziętych senatorów, spisek i śmierć despoty.

Akcja historyczna jest dla Camuza jedynie kanwą, na której snuje on swe rozmyślania filozoficzne. Camuz jest zwolennikiem modnego dziś w sferach intelektualnych Francji egzystencjalizmu, któremu Jean Paul Sartre nadał charakter doktryny filozoficznej Egzystencjalizm nie jest koncepcją całkowicie nową, zresztą z tą nowością należy być bardzo ostrożnym w dziedzinie spekulacji filozoficznej, gdzie często grę słów bierze się za grę idei. Pewien dziennikarz zauważył dowcipnie, że już Racine malując potęgę życiowych namiętności i niemoc intelektualną człowieka był nieświadomym wyznawcą nauki J.P. Sartre'a.

— Stop — zakończył swe rozważania wyżej cytowany publicysta — bo cofając się poza Racine'a dojdziemy...

Współpracownik „Lettres françaises" chciał może zaznaczyć, że egzystencjalizm jest stary jak świat i że elementy jego możemy już odnaleźć w greckiej tragedii, stawiające à priori warunek bezwolności bohaterów, wobec fatum — ślepej, bezwzględnej siły życiowej.

Julian Benda zarzuca egzystencjalistom ich zdecydowaną postawę antyintelektualną. Głoszą oni bezsilność człowieka, pragnącego sprowadzić życie do wypracowanej w sobie koncepcji. Mam wrażenie, że Benda zapomniał zaznaczyć, że antyintelektualizm egzystencjalistów wypływa właśnie z hyperfilozoficznego nastawienia jego teoretyków, przy czym nie trudno poprzez widoczny wpływ filozofa niemieckiego Heideggera, którego ślad odnajdujemy w dziele Sartre'a dostrzec filuterne mruganie okiem starego, twórczego racjonalisty Emanuela Kanta.

Cokolwiek by się o tym sądziło, jest to dziś doktryna „modna", może ze względu na swoistość jej pesymizm, bliski wielu ludziom, którzy przeżyli wojnę.

Kim jest Kaligula w interpretacji Alberta Camuz? Nie jest ani gorszy, ani lepszy od innych tyranów, raczej nas ujmuje dzięki swej wrażliwości artystycznej, marzycielstwu, świetnej inteligencji. Jest oczywiście szaleńcem, jeśli o szaleństwo można pomówić kogoś naginającego swe życie i zależne odeń życie innych do wypracowanej w sobie idée fixe. Ideą fixe Kaliguli jest zagadnienie wolności człowieka. By udowodnić sobie i innym, że jest człowiekiem naprawdę wolnym, Kaligula nie waha się przed mordem i realizowaniem pomysłów najbardziej absurdalnych. Prześladując swych senatorów, mordując przyjaciół, Kaligula nie ulega bynajmniej popędom sadystycznym. Czyny te mu są w gruncie rzeczy obce, ale chce on, by nieprawdopodobne zatriumfowało, pragnie wytrącić świat z trybów odwiecznego biegu rzeczy i narzucić mu własny, nieprzemyślany zresztą porządek. Finał dramatu Camuza ukazuje nam całkowite bankructwo logiki, doprowadzonej do absurdu. Spiskowcy zwyciężają nie tylko dzięki uplanowanemu zamachowi, ale ze względu na swą naturalną postawę wobec zjawisk życiowych, na prostą nieprzymuszoną potrzebę pokoju i szczęścia. W chwili śmierci Kaligula uznaje swą porażkę, konstatując, że on „Imperator, jedyny człowiek wolny w rzymskim Imperium" żonglujący pojęciami życia i śmierci, doznaje nagle uczucia strachu wobec zbliżającej się śmierci, na którą reaguje podobnie jak każdy inny, przeciętny śmiertelnik, któremu ani się nie śni o triumfie „Nieprawdopodobnego" i osiągnięciu bezgranicznej wolności.

Sztukę p. Camuza wystawił teatr Hebertot starannie

PRZEGLĄD PRASY

Niewiele pisano dotąd o tym, jaki wpływ miała przeprowadzona w Polsce reforma rolna na sprawę oświaty wsi. Niezmiernie dobrodziła dla kultury narodowej reforma umożliwiła dzieciom chłopskim pobieranie nauki wyrównywując tym samym możliwości startu życiowego przeważającej liczbie obywateli.

Franciszek Gil w nr. 8 „Odrodzenia" w artykule „Nowy los chłopskiego dziecka" podkreśla i uwydatnia te ogromne zmiany, jakie zaszły w dziedzinie szkolnictwa wiejskiego w związku z reformą rolną. Rozprawiając się z „mitem chłopskiego dziecka", zdanego na dobroczynność i stypendia, fundowane przez właścicieli majątków dla „jednego czy dwojga dzieci ze wsi należących do ich klucza", Gil przypomina m. inn. nazwiska „zwolenników najniższego minimum nauki dla chłopów i jak najmniejszych wydatków na szkoły wiejskie" i stwierdza, że „Trzysta pięćdziesiąt dzieci chłopskich w pałacu hrabiego Wodzickiego i jego żony Izabeli z Zamojskich, dzieci wśród których kształcą się także synowie miejscowych urzędników i rzemieślników, wyrąbało nową demokratyczną rzeczywistość chłopskiego dziecka w szkole, rzeczywistość, w której fakt kształcenia się tego dziecka nie jest, nie może być niczym dziwniejszym od faktu kształcenia się dzieci kupców czy urzędników. Jest oczywistością". Dodajmy, że jest również wypełnieniem sprawiedliwości społecznej.

Zaletą artykułów Gila („Odrodzenie" nr. 8, 10), jest właśnie uwidacznianie osiągniętej dzięki reformie sprawiedliwości klasowej. Gil, i to również zasługuje na podkreślenie, nie jest zwolennikiem jakiejś chłopskiej autonomii w dziedzinie oświaty. W zakończeniu swego wielce interesującego artykułu „Nowy los chłopskiego dziecka" pisze autor: „Krótkowidztwem społecznym byłoby stwarzać... chłopomański mit „chłopskiego dziecka"... ponad wszystko — ograniczać rozbudowę oświaty do „chłopskich" gimnazjów, „chłopskich" uniwersytetów. Przemijają dzieje... Nie ma chyba możliwości ustawienia się samych wyłącznie chłopów w miejsce szlachty, do fotografii pod pałacem".

W nr. 10 „Odrodzenia" w następnym artykule z cyklu „Żniwo wielkiej reformy" p. t. „Ziemia, ziemia..." Franciszek Gil opisuje ogromne zmiany, jakie pociągnęła za sobą reforma nie tylko w materialnej strukturze wsi, ale i w umysłowości chłopa, przytaczając rozmowę z chłopem, który „nie należał do żadnej partii. Gdybyście znali jego „myśl polityczną" nazwalibyście go na pewno reakcjonistą". Gil stwierdza i egzemplifikuje te zmiany: zainteresowanie dla techniki, która zmienia życie człowieka. „Umiałem tylko pytać o parcelację, a oni mówili o elektryfikacji! Jakżeż szybciej zmieniła ich ziemia niż nas, wyrosłych na tych polach i na tych domach, ale przez inne światy wyłączonych z ich przemian... Teraz często nie rozumieliśmy się, my starzy i oni nadchodzący właściciele lampy elektrycznej..."

Artykuły Gila, pisane stylem staroświeckim nieco, żartliwym, przypominającym niektóre stronice Żeromskiego, gdy mówi o postępie i społecznych przemianach, są jedną z najciekawszych pozycji ostatnich numerów „Odrodzenia". Kończąc omawianie ich pragnęlibyśmy przytoczyć jeszcze jedno krótkie zdanie z artykułu Gila „Ziemia, ziemia...", świadczące o społecznej świadomości autora, a przytym doskonale nadające się jako motto do wielu rozmów ze zwolennikami absolutnej autonomii kultury chłopskiej: „Kto tu myślał jeszcze — pisze Gil o wsi, w której przeprowadzono reformę — o słomianych strzechach? Nikt prócz inteligentów."

Nieco inne stanowisko w sprawie oświaty chłopów i psychiki chłopskiej zajmuje prof. Konopczyński, który omawia pamiętnik prof. Pigonia „Z Komborni w świat" w artykule „Trzecia dusza" w nr. 10 „Tygodnika Warszawskiego". Oddając należny szacunek doskonałemu stylowi pisarskiemu autora, postaramy się sprecyzować jego poglądy na sprawy chłopskie, które niezupełnie pokrywają się z rzeczywistością.

Prof. Konopczyński mówi nam o „trzech duszach" chłopa. Sięgając do broszury Bojki o „Dwóch duszach" chłopskich - pańszczyźnianej i wyzwolonej, prof. Konopczyński stwierdza, że „dusza wyzwolona od półwieku jest w silnym rozroście. Trzeci typ, dusza wolna, albo kto woli, niepodległa, różni się od poprzedniej postawą gospodarską wobec krajn. świadomością krytyczną wobec siebie samej, niepodległością na zewnątrz i poczuciem odpowiedzialności za sprawę narodową". Pomijając dość nieokreśloną terminologię, stwierdzić należy, że to co prof. Konopczyński określa jako „trzecią duszę" chłopską, a co my nazwiemy prościej, mówiąc o normalnym, świadomym obywatelu, może być udziałem mas chłopskich dopiero w przyszłości dzięki przeprowadzonej reformie. Do niedawna „trzecia dusza" chłopska mogła inkorporować się tylko w nielicznej elicie ludowej.

Prof. Konopczyński, umiejscawiając ową „trzecią duszę" poza czasem i przestrzenią nie wspomina o reformie ani słowa. Cały artykuł, a zwłaszcza wstęp, zaciera pilnie linię podziałów klasowych w społeczeństwie, nie mówiąc już o tym, że warstwę chłopską traktuje autor jako jednolitą całość, co przecież nie odpowiada rzeczywistości ekonomicznej.

Prof. Konopczyński na przykładzie pamiętnika prof. Pigonia usiłuje dowieść, że chłop mimo trudności miał przecież szanse startu. Jako zasługę poczytuje on łagodzenie różnic, zamazywanie sprzeczności klasowych między interesami szlachty i chłopstwa cytując ustęp z pamiętnika prof. Pigonia, który stwierdza, że „Jeśli chodzi o syna chłopskiego... to uraz ów (mowa o „nienawiści klasowej": przyp. p. h.) wywodzi się najczęściej z traktowania go na progu życia nie tyle przez kolegów czy to zamożniejszych, czy też wyżej urodzonych, ile właśnie przez poduczonych trochę, ostrym snobizmem, czy kanierowiczostwem dotkniętych samychże synów chłopskich czy małomieszczańskich."

Ograniczając się do zakresu egzemplifikacji autora artykułu, t. zn. pozostając wyłącznie w kręgu psychologii oderwanej całkowicie od podłoża socjologicznego z łatwością wyciągamy przecież wnioski natury politycznej: prof. Konopczyński w artykule, prof. Pigoń w swojej książce, jak to wynika z artykułu, propagują solidaryzm i sprzeciwiają się rzeczywistości. „Nienawiści klasowej" jak podaje w cytatach z książki prof. Pigonia prof. Konopczyński nie wytłumaczymy metodą psychologiczną. Prof. Konopczyński wie o tym zapewne, gdy pisze: „A propos tej nienawiści. Wiadomo, że szlachta nieźle na nią zasłużyła. Ale nie każdy zdaje sobie sprawę, ile jej dofabrykowali w XIX wieku czerwoni demokraci."

Uogólnienia, które usiłuje skonstruować na podstawie przykładu Pigonia prof. Konopczyński, nie wytrzymują próby rzeczywistości. „Trzecia dusza" chłopska nie zrodzi się z wysiłku poszczególnych jednostek chłopskiego pochodzenia; ideał moralny i społeczny prof. Konopczyńskiego może się zrealizować we wsiach dopiero w wyniku reformy rolnej, o której, pisząc o „trzeciej duszy", prof. Konopczyński nawet nie wspomina, traktując rozwój człowieka jako coś całkowicie oderwanego od warunków ekonomiczno-socjalnych.

Numer 9 „Wsi" poświęcony jest Jakubowi Szeli. Znajdujemy tu artykuł Galaja „Szela i jego historyczna prawda", poemat Stanisława Skoniecznego „Jakub Szela", Jana Olszowskiego „Rabacja i powstanie chochołowskie". Redakcja „Wsi" zapowiada w następnych numerach dyskusję o Szeli.

Wracając do „Odrodzenia" zmuszeni jesteśmy udzielić kilku słów odpowiedzi doboszowi tego pisma (zb), który w „Przeglądzie prasy" w nr. 10 w sposób całkowicie nieumotywowany stwierdza, że „jeśli porte-parole (ph) „Kuźnicy" lekceważy zagadnienia tak ważne dla każdego artysty, jak sprawy techniki i rzemiosła, które uprawia, to swoim osobistym poglądem obciąża pismo", dobosz „Odrodzenia", który rozumie zapewne sprawy techniki i rzemiosła jako rozgraniczenie gatunków poetyckich na t.zw. awangardę i passeizm, nie może żądać, by pogląd tego rodzaju był reprezentowany przez wszystkich. Insynuując, że „porte-parole" lekceważy sprawy techniki i rzemiosła, dobosz (zb) zakłada tym samym, że reprezentowany przez niego pogląd na sprawy poetyckie jest słuszny. Jesteśmy przeciwnego zdania i twierdzimy, że kryteria stosowane przez niego są przestarzałe i nie mogą rościć pretensji do wyłączności.

Z cyklu tych samych insynuacji jest dalsza uwaga na temat oceny „Przekroju". Dobosz „Odrodzenia" nie przeczytał zapewne naszych uwag o „Przekroju" w nr. 6 „Kuźnicy" (Przegląd prasy), gdyż w przeciwnym razie nie powtarzałby tej oceny w nr. 10 „Odrodzenia".

Przedostatnia strona nr. 10 „Odrodzenia" poświęcona jest dąsom. Prócz „Przeglądu prasy", w którym dąsa się zb., tuż obok znajdujemy artykulik Artura Sandauera „Czas — to pieniądz", który jest krótkim traktacikiem z zakresu erystyki. Sandauer atakowany ostatnio mocno za pewne niedozwolone chwyty polemiczne broni się jak może, podając dowcipnie z góry przewidziane gatunki polemicznych chwytów swoich przeciwników.

ph.

ZOFIA NAŁKOWSKA

GRANICA

Powieść — Wydanie 5.

Str. 275 Cena zł 140.—

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"

ukazały się

BAŚNIE I LEGENDY

dla starszych dzieci.

Zawierają one zbiór baśni polskich i innych narodów. Okazała szata zewnętrzna. Książka bogato ilustrowana.

Cena Zł. 90.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"

ukazały się

Poezje

St. Jerzy Lec—„NOTATNIK POLOWY"
Cena Zł. 30.—
Miecz. Jastrun — „RZECZ LUDZKA"
Cena Zł. 65.—
Wł. Słobodnik—„DOM W FERGANIE"
Cena Zł. 20.—

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

Centrala — Łódź, Piotrkowska 86, wysyła za zaliczeniem pocztowym lub po otrzymaniu wpłaty na konto Nr. VII/995 PKO Łódź.

„ICH CZWORO"

Gdy odrodzony teatr polski w Lublinie, po 5 latach nieistnienia, rozpoczął sezon we wrześniu 1944 r. „Moralnością pani Dulskiej", można się było niepokoić tym brakiem ambicji sceny polskiej, w chwili tak patetycznej i wymagającej wielkiej poezji. Minęły od tego czasu prawie dwa lata, Zapolska okazała się najczęściej granym autorem polskim – nie była to jednak jakaś linia stylowa i repertuarowa, świadomie utrzymywana przez nasz teatr.., „Ich czworo", „Panna Maliczewska", „Moralność pani Dulskiej", powracające stale na afisz scen prowincjonalnych, a także i wielkomiejskich, – to dowód oportunizmu naszej gospodarki teatralnej, oczywistym jest bowiem, że teatr szedł tu po linii małego oporu, wystawiał to co mógł łatwo zorganizować i do czego aktorzy i reżyser z dotychczasowej swojej praktyki byli wdrożeni i przyzwyczajeni..

I trzeba to sobie powiedzieć, że rzadko kiedy bezplanowość okazała się tak pożyteczną. Zanim ZASP zorganizuje obiecywaną Komisję Repertuarową przy Naczelnej Radzie Artystycznej, nie mogły teatry robić nic lepszego, jak grać Zapolską, choć pełnej świadomości tej zasługi nie można byłoby wszystkim przyznać. Gdy jednak inne pozycje teatru naturalistycznego odchodzą nieuchronnie do historii gdy komediopisarz mieszczański Perzyński, tkwiący po uszy w świecie, który opisuje, nadaje się już tylko do pasticheu, czy groteskowej stylizacji, gdy u nastrojowca Rittnera akcent satyry społecznej przesuwa się na aspekt komediowo-psychologiczny, gdy nawet pozycje teatru europejskiego okazałyby się martwe – i jużby nie przekonała nas prowokująca kostyczna suchość Becque'a, czy spazmy erotyczne Porto-Riche'a – jeden tylko Ostrowski w Rosji, a u nas Zapolska, nie tylko żyją, ale nabierają znaczenia jakiego w swojej epoce nie posiadali: stają się dokumentami, dają nam TYPOWY OBRAZ SPOŁECZNYCH SCHEMATÓW. Martwym jest to, co było w naturaliźmie psychologicznym babraniem się w „człowieczeństwie", co miało podkreślić rzekome „cierpienie", rozpaczliwy J. A. Kisielewski, dziś wznowiony, wywołałby zapewne ryki śmiechu. Zostało to, co zbliża Zapolską do Balzaka: Szkic obyczajowy, o sensie moralno-społecznym.

Z tego punktu widzenia jest sztuka „Ich czworo" najbardziej współczesnym utworem Zapolskiej. W „Pannie Maliczewskiej", mimo paru kapitalnych rysów karykaturalnych, góruje psychologiczny ton „litości nad artystami!", powtórzony w społecznaniu w „Karykaturach" i „W sieci" (Szalona Julka) Kisielewskiego, w „Moralności" i „Żabusi" daje nam autorka li-tylko wycinki, przekroje, podkreślając aspekty psychologiczne (Portret megery, modernistyczne tęsknoty Zbyszka – poety spod zlewu mieszczańskiego). Tutaj w „Ich czworo" mamy pokazany problem od początku do końca cały problem pewnego schematu społecznego, jakim jest rodzina, zademonstrowany metodą rozwojową: powstanie, rozwój i rozkład komórki socjalnej, wraz z ukazaniem dalszych perspektyw: wkroczenie szwaczki do rodziny, i skutków socjalnych: dziecko jako ofiara. Jest to ta sama metoda, którą znamy z „Cezara Birotteau": nie dzieje poszczególnego człowieka, mimo łudzącego tytułu powieści, ale dzieje przykładowego zdarzenia: bankructwa, ukazanego w całości, od początku do końca. „Ich czworo" to nie sztuka, to już preparat. Szczególnie dla nas dzisiaj.

O tym powinien wiedzieć reżyser. Bo Zapolska nie ustrzegła się od pomyłek, które trzeba zapisać na karb atmosfery jej epoki. „Ich czworo" było chłodno przyjęte przez współczesnych, i długo panowała najniesłuszniejsza opinia, że jest to drugorzędny utwór Zapolskiej. Sprawiła to właśnie cecha, którą dziś umiemy ocenić: podkreślanie typowości zjawisk, kosztem ich psychologicznego bogactwa. Nie mogło to się podobać w czasach, gdy tak lubiano się wzruszać indywidualnym cierpieniem, ale też i Zapolska nie uniknęła nastrojów swoich czasów. Miała ona niewątpliwą świadomość koncepcji: pokazać zjawisko, nie ludzi. Świadczy o tym prolog i epilog, wygłaszany przez widmową postać (usunięty w łódzkim przedstawieniu), i nazwanie osób ogólnikowe nie indywidualne: „Mąż", „Żona", etc. Jednak stępiła Zapolska ostrze utworu przez to, że nie ukazała zjawiska w pełni typowego, rodzina ta nie jest przeciętna – powstała bowiem przez ożenek profesora z praczką. Teraz więc spadają na niego raczej konsekwencje jego kroku, a nie konsekwencje samej instytucji mieszczańskiego małżeństwa, na tle zacofanych stosunków społecznych i moralnych. Tym bardziej, że dalsze zachowanie się profesora utwierdza nas w przekonaniu, że sam sobie winien; Zapolska ukazuje go tak, jak prawdopodobnie nie pokazałby go nigdy mężczyzna-autor, np. w nieraz krytykowanej scenie, gdy profesor wchodzi do mieszkania kochanka swojej żony, wiedząc, że tam jest żona, i mdleje. Chcąc obudzić litość dla tej postaci Zapolska ukazała typ budzący niepokój brakiem charakteru i godności. Zachowanie się żony jest znowu usprawiedliwione jej bezbrzeżną głupotą, w ten sposób oskarżenie przesuwa się z krytyki systemu społecznego na krytykę poszczególnych osób.

Współczesny reżyser, chcąc wydobyć elementy typowe ze sztuki, musi stonować te cechy. Profesor nie może być neurastenicznym dziadziem, budzącym współczucie i łezkę, jak był w przedstawieniu w Teatrze Kameralnym. Profesor jest postawnym, zrównoważonym i budzącym szacunek mężczyzną, w kreakcji Adwentowicza miał on nawet coś lwiego. Tym bardziej szyderczym stawał się kontrast, w jaki rzuciła go zacofana konwencja mieszczańskiej familii. Podobnie Żona winna mieć wyrazistą ostrość charakteru, bezwzględność postępowania, wreszcie chytrość, która nie wyklucza dominującej głupoty. Pod tym względem znacznie udatniejszą była kreacja Miry Zimińskiej, która wydobyła wszystkie te sprzeczne czasem cechy charakteru, tłumiąc je jednak niepotrzebnie, – może na polecenie reżysera? Tak, że jako ostateczne wrażenie zostaje nam uczucie niepewności giętkości tej postaci, zamiast zwycięskiej arogancji. Ta żona nie czuje się dobrze w domu profesora, – a powinna się czuć bezczelnie.

Było może wynikiem założenia reżysera (p. Axera), bardzo zresztą słusznego, by wszystko stonować, poszarzyć, nie wydobywać elementu „komediowego", elementu „śmiechu". Zatarł też reżyser to co było farsowym, chcąc podkreślić aspekt serio, realistyczny, pedagogiczno-społeczny. Nie wydobył go do końca, i utknął w pół drogi; trzeba też z przykością powiedzieć, że nie dopomogli mu aktorzy, przez co przedstawienie ma poziom mierny. Każdy był w innym stylu: Amant groteskowy, wystylizowany, wysztafirowany. Wdowa sentymentalna (znów zatarł się element plugawości!), Szwaczka ujęta realistycznie, z podkreśleniem momentu trzeźwości życiowej. Role dobre, tylko każda z innej koncepcji reżyserskiej (p. Tatarski jako amant byłby świetny gdyby całe przedstawienie było groteskowe, p. Macherska też, gdyby było melodramatycznie ujęte etc., etc.). Mimo tych braków, jak również mimo niedopuszczalnych dekoracji (czy to stylizacja wykpiwająca epokę, czy niedołęstwo modelatora, który niewprawnie oblepiał kredens tasiemką mającą na celu naśladować ówczesny mebel? nie sposób odpowiedzieć. Kompozycja wiernie oddająca epokę: żadna), mimo tych niedociągnięć przedstawienie trzeba uznać za triumf Zapolskiej, ogląda się je z zaciekawieniem, i mimo wszystko, ze społecznym pożytkiem.

Zygmunt Kałużyński

W poprzednim (10) numerze „Kuźnicy" z dnia 18 marca 1946 r.: **Ksawery Karczewski** – Sprawa bloku wyborczego. **Jan Reychman** – Prawdziwy Kossuth. **Jarosław Iwaszkiewicz** – Wizyta w Paryżu. **Stanisław Strumph Wojtkiewicz** – Dramat na emigracji – Panowie oficerowie. **Tadeusz Kotarbiński** – Garstka wspomnień z pobytu w Moskwie. **Julia Hartwig** – Marcowy dzień – Nadzieja. **Tadeusz Kubiak** – Modlitwa. **Aragon** – Młodzi ludzie. **Antoni Bohdziewicz** – Dyskusja o filmie „Film polski" na cenzurowanym! **Jan Rojewski** – Siedem dni. **Juliusz Saloni** – Zapomniane juvenilia Kasprowicza. **bd** – Nowe książki. **Teresa Tyszkiewiczowa** – Malarstwo Walentyny Symonowicz. **Jerzy Barski** – Na wielkiej fali – o bombie atomowej i jej twórcy. **A. K.** – Kronika gospodarcza – Kauczuk. **Adam Ważyk** – Rozmaitości – Wyniki pewnej dyskusji. **Jan Kott** – Książki [illegible] dla dzieci. **J. Żyr** – Zjazd pedagogiczny w Łodzi. Noty. Korespondencja.

NOTY

PRZEMÓWIENIE

Czytamy przemówienie z grudnia 1945 r. Charakterystyka przezwyciężanych czasów pogardy tak wygląda: „Wolność człowieka pogrzebana, przymusowe zrzeszenia,..." Nic więcej! Ani słowa o faszyźmie! Ani wzmianki o faszystowskich zbrodniach!

Przyczyny tych dwu klęsk mówca widzi:

1) W indywidualizmie państw i narodów...

2) W liberalizmie laicystycznej kulturze i ześwieczczonym humaniźmie...

3) w zastępującym liberalizm **gdzieniegdzie** totaliźmie...

Wskazania na przyszłość mówca daje takie:

1) „kto szuka zadośćuczynienia (za zbrodnie wojny), niech swe żądania opiera na żądaniach moralnych, na poszanowaniu nienaruszalnych praw natury, które obowiązują **nawet wobec tych, co bezwarunkowo poddali się zwycięzcy".**

2) mówca cieszy się, że wywiezieni (nie mówi przez kogo!) wracają do rodzin, ale dodaje również enigmatycznie „Nie możemy ukryć żalu słysząc o **innych** zarządzeniach prawie umyślnie zastosowanych względem więźniów i ludzi wywiezionych... (ich) jarzmo więzienia... zostało obostrzone twardą i nieuzasadnioną pracą... odmówiono w nieludzki sposób traktowania należnego **zwyciężonym".**

3) „wyrażamy uczucia wszystkich prawych, sprawiedliwie myślących ludzi, gdy rozciągniemy to życzenie także na tych politycznych więźniów,... przeciw którym nie ma oskarżenia o zbrodnię lub przekroczenie prawa, co najwyżej o ich **dawne przekonania polityczne"...**

Przemówienie ubogie w treści roi się od takich niewczesnych proniemieckich aluzyj. Kto to mówi? Niemiecki „demokratyczny" mąż stanu nieśmiało bronjący swych rodaków? Nie!

Przeczytajcie sobie Nr 3 „Tygodnika Powszechnego" — Ten z orędziem Papieża Piusa XII — a dowiecie się, kto, gdzie i kiedy mówił.

Żłk

KONFRONTACJA

Pan pej. z Nr 3 „Tygodnika Powszechnego" martwi się rozbieżnością twierdzeń moich i b. premiera Składkowskiego na temat ZNP. Ja mam widzieć w ZNP wstecznków — Składkowski komunistów. Pan pej. dla rozstrzygnięcia proponuje konfrontację Składkowski—Żółkiewski i „sąd boży".

Uważam, że nie potrzeba fatygować sędziwego już dzisiaj p. Składkowskiego aż z Palestyny. Moje oskarżenia o wstecznictwo dotyczyły — nie ogółu związkowców — ale grupy rządzącej dziś Związkiem. Ci panowie — nie miel na ogół wiele do gadania w ZNP przed wojną. Niech oni sami delegują na tę proponowaną konfrontację tych spośród siebie, którzy mogą zastąpić z powodzeniem sanacyjnego ministra. Tych, którzy rej wodzili w sanacyjnym „Siewie" i w sanacyjnej admjnistracji szkolnej do ostatniej chwili. A wtedy będzie można zostawić w spokoju naszego palestyńskiego staruszka.

Łatwo jest stroić się dzisiejszym rządcom w ZNP w cudze piórka demokracji przedwojennych działaczy, których już w zarządzie Związku po prostu nie ma. Wyginęli, wyjechali, „popadli w ministry".

Żłk

ZŁOTE MYŚLI ADOLFA HITLERA

Przeciętny czytelnik prasy codziennej czuje się już potrosze znużony sprawozdaniami z procesu norymberskiego. A szkoda!

Niedawno właśnie, oskarżyciel radziecki, płk. Pokrowski odczytał protokół, sporządzony przez Martina Bormanna z konferencji u Hitlera w sprawie t. zw. Generalnej Guberni z dn. 2 października 1940 r Na tej konferencji, wytyczającej drogi polityki niemieckiej w stosunku do Polaków fuehrer rzucił zebranym dygnitarzom następujące myśli i uwagi:

„Polacy w jaskrawym przeciwieństwie do robotników niemieckich, stworzeni są do ciężkiej pracy. Trzeba przyjąć za zasadę, że o ile nasz robotnik jest z natury zdolny i inteligentny, o tyle Polak jest leniwy i trzeba go zmuszać do wykonania pracy. Generalna Gubernia jest rezerwuarem sił roboczych, jest dla nas wielkim polskim obozem pracy. Polacy mogą być używani tylko do najprostszych, najbardziej prymitywnych robót, jak np. budowa dróg. Należy ich przywozić do Rzeszy w okresach nawiększego natężenia pracy szczególnie w okresie robót rolnych... W żadnym przypadku nie można dopuścić do podniesienia stopy życiowej Polaków, bo staną się wtedy anarchistami i komunistami. Najniżej stojący robotnik czy chłop niemiecki musi jednak pod względem ekonomicznym stać przynajmniej o 10 proc. wyżej ponad każdym Polakiem"..

Interesując się tak żywo losem robotników polskich nie zapomina również fuehrer Trzeciej Rzeszy i o inteligencji:

„Polacy mogą mieć tylko jednego pana — t. j. Niemców. Dwóch panów obok siebie istnieć nie może. Dlatego też wszyscy przedstawiciele polskiej inteligencji będą zniszczeni. To brzmi okrutnie, lecz takie są prawa życia..."

Duchowieństwu polskiemu wyznacza Hitler rolę specjalną: „Celem księży jest utrzymanie Polaków w spokoju, głupocie i ciemnocie. Polscy księża dostaną od nas żywność i dlatego będą robili to, co my chcemy. Zostaną opłaceni i będą mówić to, co im każemy. Jeżeli którykolwiek spróbuje czynić inaczej, załatwimy się z nim krótko..." (Polecamy ten passus uwadze miłosiernego Piusa XII).

Wskazania Hitlera były oczywiście rozkazem dla jego paladynów. Na konferencji w Krakowie, w dn. 6 listopada 1940 r. „wielkorządca" Hans Frank oświadczył podwładnym urzędnikom: „Nie zależy nam nic na dobrobycie tego kraju. Nasze osiągnięcia mierzyć będziemy tym, w jakim stopniu udaremnimy zamysły, by Polska mogła się kiedykolwiek podźwignąć. To może brzmi twardo i ponuro, ale w zmaganiach narodu o tysiące (!) i miliony (!) lat bytu, nie można wybierać innego rozstrzygnięcia"..

„Tysiące i miliony lat" hitlerowskiego bytu minęły z nieprawdopodobną szybkością. Tyle, że postać krwawego błazna — Adolfa Hitlera służy pod niejednym względem za wzór i natchnienie dla rodzimych „patriotów" spod znaku NSZ i im podobnych, pogrobowców faszyzmu. Żniwo dowodów, że jest nie inaczej, zbieramy niemal codziennie.

bd

ICH PROPAGANDA

W Nr 59 „Robotnika", redaktor wychodzącego w Stanach Zjednoczonych tygodnika polskiego „Świt" — Michał Pankiewicz pisze o nastrojach opinii amerykańskiej w stosunku do Polski i spraw polskich. W artykule tym czytamy:

„Nadchodzące blisko od roku wiadomości z Polski o mordowaniu Żydów stawiają nas w opinii amerykańskiej jako naród na poziomie afrykańskich Hotentotów. W Polsce niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera na opinii amerykańskiej notatka tej np. treści, że w Zabrzu, na Śląsku, d. 18 stycznia b.r. zamordowana została dwudziestoletnia Bluma Wain, która zdołała wyjść cało z niemieckich obozów koncentracyjnych, ażeby w końcu znaleźć śmierć z rąk polskich. A od kwietnia ub.r. rubryka zabójstw Żydów w Polsce nie znika ze szpalt dzienników amerykańskich. Najpoważniejszy dziennik amerykański „New York Times" wydał specjalny dodatek, poświęcony położeniu Żydów w Europie... Redakcja stwierdza, że obecnie najgorzej Żydom dzieje się w Polsce, a najlepiej w Niemczech... Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że każdy strzał dany w pierś Żyda, trafia w Polskę i że rozbestwienie w stosunku do Żydów prowadzi do rozbestwienia ogólnego".

Poglądy Pankiewicza, potwierdzone licznymi wystąpieniami prasy zagranicznej, są znakomitą ilustracją skuteczności... „propagandy uprawianej niezmordowanie słowem i czynem przez antysemitów polskich. Polscy pogrobowcy hitleryzmu, mordujący skrytobójczo Żydów, albo też aprobujący ciszej lub głośniej te bestialskie zbrodnie, historyczną zaiste „przysługę" wyświadczają Ojczyźnie i chwalebnie rozgłaszają imię Polski po świecie!... Tak wyglądają **praktyczne skutki** polityki karykaturalnie wydętej frazesami o — „wolności", „suwerenności" i „prawdziwej demokracji, frazesami, które kryją plugawą faszystowską treść.

bd.

ZBRODNIE HAŃBIĄCE IMIĘ POLSKI

Skutki okupacji hitlerowskiej trwają.

Jednym z objawów zdziczenia jest fakt powtarzających się raz po raz na ziemi polskiej mordów, dokonywanych na ocalałych z rzezi Żydach lub Polakach żydowskiego pochodzenia. Już podczas okupacji bojowcy NSZ wydawali ich w ręce gestapowców. Tak między wielu innymi zginął światowej sławy profesor Handelsman. W wolnej Polsce ta haniebna zbrodnicza działalność nie ustała! Żydzi powracający z obozów hitlerowskich i ci, którzy przetrwali w kraju okres okupacji, padają raz po raz z ręki skrytobójców, z ręki faszystów polskich. Padają również Polacy żydowskiego pochodzenia. Tak zginął w Zakopanem Józef Oppenheim. Śp. Oppenheim, znany w Polsce i za granicą ze swej ofiarnej pracy w Tatrzańskim Pogotowiu Ratunkowym, zamordowany został przez hitlerowców polskich!

W odezwie wydanej do społeczeństwa polskiego, nawiązującej do nowego mordu popełnionego na czterech Żydach, którzy przetrwali gehennę obozów hitlerowskich, komitet „Bundu" pisze:

„W nienawiści swojej do demokracji i wolności mordują najemnicy faszystowscy działaczy demokratycznych i przedstawicieli robotniczych obok ludności żydowskiej, wobec czego energiczna i pełna siły postawa całego narodu jest obowiązkiem wszystkich uczciwych obywateli naszego kraju.

Odpowiedzialność za te mordy spada na tych, którzy dużo mówiąc o demokracji w rzeczywistości połączeni są wszelkimi węzłami ideowymi z wstecznictwem naszego kraju. Oni to odpowiedzialni są za kontynuowanie hitlerowskiej polityki mordów w Polsce. Dzięki nim Polska jest jedynym krajem na świecie, gdzie dokonuje się mordów na Żydach".

„Bund" domaga się szeroko zakrojonej akcji uświadamiającej wśród społeczeństwa polskiego, wzywa cała prasę demokratyczną, by nie milczała o zbrodniach, które godzą w dobre imię narodu polskiego.

Staliśmy zawsze na stanowisku, że przemilczanie „spraw drażliwych" przynosi więcej szkody niż korzyści. Przemilczanie panujących w kraju wśród części społeczeństwa nastrojów, nie przyczyniło się do ich złagodzenia, nie zapobiegło pogromowi krakowskiemu i późniejszym mordom kapturowym.

Przeciw bandom hitlerowców polskich mordujących działaczy demokracji z nienawiści do nowej Polski, przeciw bandom hitlerowców polskich wyrzynających Żydów z nienawiści „rasowej", z nienawiści zaszczepionej przez wrogów narodu polskiego i ludzkości, muszą być użyte najskuteczniejsze środki zaradcze.

Ale to nie wystarczy. Zdrowa część społeczeństwa powinna zareagować, powinna pokazać Polsce i światu, że odgradza się od zbrodni, o których milczeć nie wolno pod groźbą wyłączenia się na długie lata z rodziny cywilizowanych narodów.

rkm

ANDERS NIE RECZY

W wywiadzie z korespondentem londyńskiego dziennika „Daily Telegraph", kondotier dogorywającego faszyzmu — gen. Anders oświadczył, że „nie może ręczyć za całość i bezpieczeństwo osoby prof. Stanisława Kota, **jako ambasadora RP** w Rzymie"...

Trzeba przyznać, że to oświadczenie wykracza daleko poza najrozmaitsze ekstrawagancje i paradoksy polityczne, znamienne dla sytuacji powojennej w Europie. Bo jakżeż w danym przypadku wygląda faktyczny stan rzeczy?

We Włoszech od lat dwóch z górą istnieje legalny rząd tymczasowy, uznany przez wszystkie państwa sojusznicze. Rząd włoski pozostaje w normalnych stosunkach dyplomatycznych z tymi państwami, więc i z Polską. Przy rządzie włoskim akredytowany jest właśnie ambasador prof. Kot, korzystający z należnych mu praw i przywilejów dyplomatycznych. Poza tym, we Włoszech do dziś dnia istnieje też aliancki zarząd wojskowy, sprawujący pewne funkcje kontrolne aż do czasu zawarcia z Włochami formalnego traktatu pokojowego. O ile nam wiadomo, p. Anders, jest obecnie tylko jednym z wielu generałów na służbie brytyjskiej i żadnej roli samodzielnej w wojskowym zarządzie alianckim nie odgrywa.

A jednak, jak wynika z cytowanego wywiadu, p. Anders przybiera sobie na terenie włoskim pozy i gesty jakiegoś udzielnego władcy — i to z czasów, gdy sztylet i trucizna były pospolitymi środkami załatwiania politycznych sporów. I w tym charakterze „suwerena" p. Anders oświadcza całemu światu za pośrednictwem „Daily Telegraph", że „nie bierze odpowiedzialności" za życie dyplomaty polskiego, którego osoba jemu — p. Andersowi — nie przypada do gustu...

Nie wiadomo, doprawdy, co tu więcej podziwiać należy: czy nieprawdopodobną bezczelność p. Andersa, czy też nie mniej zdumiewającą tolerancję jego bezpośrednich zwierzchników, którzy z całym spokojem na takie wystąpienia pozwalają.

bd

DO KOLEGÓW WICIOWCÓW

Parokrotnie już poruszaliśmy Wasze własne, lecz wspólnie nas obchodzące sprawy. Zupełnie szczerze zapewnialiśmy, że z życzliwością i uwagą śledzimy Wasze prace. Jeśli budzą w nas poważny niepokój, to dlatego tylko, że chcielibyśmy, byście jak najprędzej pozbyli się nie młodzieńczego zapału, lecz naiwności dziecinnej już dziś, bo jutro przecie spotkamy się razem przy pracy, która przerasta siły jednego pokolenia.

Niektóre punkty Waszej deklaracji ideowej naprawdę nie są na odpowiednim poziomie. Cieszy nas to, że podejmujecie na ten temat dyskusję. Tylko że nie bardzo zdajecie sobie sprawę z tego, że dyskusja wymaga z jednej strony sformułowania własnych sądów w sposób sprawdzalny racjonalnie i empirycznie, z drugiej zaś przeciwstawiania sądom przeciwników własnej, poważnie ujętej argumentacji.

Tezy Wasze są najzupełniej dowolne. Twierdzicie bowiem, że ludzkość przeżywa kryzys z powodu „niewspółmierności zachodzącej między rozwojem techniki przemysłowej a postępem moralnym", że winne tu są „wynaturzenia spowodowane zerwaniem związku z ziemią i niewłaściwym trybem życia w większych ośrodkach miejskich", że zacią-żyła nad nami „jednostronność związana ze specjalizacją zawodową", której przezwyciężenie może przynieść wyższe wykształcenie ogólne.

Już Wam to tłumaczyliśmy obszernie, że przyczyny wojen, nie tkwią w technice. Historia uczy poza tym, że konflikty doprowadzające do krwawego wyniszczania się ludzkości mają podłoże całkiem materialne i nie zależą od postępu moralnego człowieka. Przyjrzyjcie się temu dokładniej i mamy nadzieję, że zgodzicie się z nami.

Związek z ziemią...

Sami przecież widzicie, że teza ta o miło zalatuje mistycyzmem i żadna miara argumentować jej na serio nie można. Zasłaniacie się autorytetem, ale przeczytajcie uważnie choćby ten zacytowany przez Was urywek. Toteż autor się wyraźnie zastrzega, że jego wypowiedź ma charakter „raczej poetycznyniż naukowy". Ktoś Was nabrał na kawał, a Wyście to wzięli poważnie. W jakimże sensie możecie naszym argumentom przeciwstawić opinię, że wielkie znaczenie dla człowieka ma „zespolenie się z rytmem życia ziemi", że owo zespolenie jest „potrzebą organiczną", wyrażającą się nieraz „jakąś dziwną ekstazą" i „zachwytem" z towarzyszeniem „półartykułowanych dźwięków"—trudno nam przytaczać Wasz przydługi cytat, choć warto by to uczynić, tak wymowne są te — jak je nazywacie — „natchnione zdania" Waszego autorytetu.

Zasmuciło nas bardzo, że argumentując w ten sposób sprowadziliście dyskusję z samej rzeczy na teren osobisty. Powiadacie, że my nie mamy racji, bo większe zaufanie wzbudzają w Was kompetencje intelektualne przywołanego autorytetu niż nasze wraz z Karolem Marksem włącznie.

Jesteśmy od Was starsi, kształciliśmy się w warunkach dużo lepszych niż Wasze, dokładamy starań, żeby nasze pismo nie było — jak to niezbyt uprzejmie określacie — zbiorem „dowcipnych niedorzeczności", co do których nie wiadomo, czy się nimi warto w ogóle zajmować" — ale mimo to nigdy nie żądaliśmy, żebyście liczyli się z naszymi „kompetencjami intelektualnymi". Mieliśmy cicha nadzieję, że w dyskusji znaczyć będzie sens i poziom argumentacji, a nie kompetencje, nie zaufanie i tym podobne wzniosłe rzeczy. Bardzośmy się na Was zawiedli.

Występujecie wreszcie przeciwko specjalizacji zawodowej — popieracie wykształcenie ogólne. Czyż byście naprawdę nie rozumieli, że tylko poprzez przygotowanie zawodowe można uczestniczyć w zbiorowym wysiłku odbudowy zniszczonej gospodarki państwowej, społecznej i prywatnej? Czyżby istotnie odpowiadał Waszej ideologii typ ogólnie wykształconego inteligenta, który niczego nie umie robić, stoi bezradny wobec trudności życiowych, ma coprawda rozwinięta sprawność pobierania dóbr kulturalnych, ale nie potrafi uczestniczyć w żadnym procesie produkcyjnym, zapatrzony w głębie własnej osobowości jest przytomny ale nieobecny i pozostaje poza nawiasem jakiejkolwiek grupy społecznej?

Znów ktoś z Was sobie zadrwił, młodsi nasi koledzy ! Nie bierzcie tego na serio, nie wierzcie żadnym autorytetom.

Nic dla nas świętego nie było. Ale byliśmy przy tym bałwochwalcami wiedzy i naprawdę częste były wypadki, kiedy w gruntownej znajomości przedmiotu niektórzy z nas dystansowali uznanych powszechnie reprezentantów nauki.

Niechby ten okres nadszedł jak najprędzej i dla Was. Podyskutujemy wtedy poważniej.

buk.

CZYTELNICY PRAGNĄ POEZJI

Ukazało się nieco książek, wciąż jednak ich za mało, wciąż jeszcze nie wypełniają jednej choćby półki w bibliotece powojennej.

Związek Zawodowy Literatów z pomocą Ministerstwa Kultury i Sztuki rozpoczął wydawnictwo serii zbiorków poezji jeszcze w Lublinie. W dziale poezji „Czytelnik" ma dwie wybitne pozycje: „Miejsce na ziemi" Juliana Przybosia i „Ocalenie" Czesława Miłosza.

Jak na stosunkowo długi okres — mało.

Dawno złożona do druku Antologia polskiej poezji społecznej (od Mickiewicza po czasy najnowsze) nie ukazała się dotąd.

Dawno również złożony w „Czytelniku" tom wierszy Jerzego Zagórskiego nie pojawił się jeszcze na półkach księgarskich. Dlaczego? Czy mamy tak wielu dobrych poetów? Czy koniecznie musimy upodobnić się do Krainy Ciemnoty i Zacofania, gdzie poezję uważa się za luksus zbędny? Może czekamy na „poezję dla mas"? Nie ma takiej poezji i nigdy nie będzie. Poezja dobra jest dla mas. Wydawnictwa nasze muszą pamiętać o tym, że zwlekając z drukiem rzeczy wartościowych przyczyniają się do obniżenia i tak już niskiego poziomu naszej kultury.

mj

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8,000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-42.

D—06384

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.